Nr. 10. Lwów, Niedziela dnia 7. Marca 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

X.

O SUMIENNEJ KRYTYCE.

Niedawno pisaliśmy o sumienności autorskiej. Z porządku rzeczy powinniśmy zająć się krytyką, która niemniej sumienną być powinna.

Na ziemi galicyjskiej znamy dwojaką krytykę: tę, która wszystko chwali i drugą, która wszystko potępia.

Krytyki sumiennej, bezstronnej, oddającej nawet nieprzyjacielowi sprawiedliwość, nie mieliśmy długie lata. Chcemy jednak wierzyć, że i pod tym względem stosunki nasze zmienią się na lepsze. Ale o tem później.

Co wywołało te dwa zgubne i tak daleko jak biegun północny od południowego odbiegające od siebie kierunki krytyczne? Dla czego są one także równie bezpłodne i dla pracy organicznej zabójcze, jak oba te bieguny? Odpowiedź krótka: Jeszcześmy nie zaczęli żyć pełnem życiem duchowem, a jużeśmy rozpoczęli sztuczne życie polityczne. Polityka jest tu matką złego. Mamy tu na myśli ostatni lat dziesiątek. Zabójcze zaś są z tej przyczyny, że im brak umiarkowania a więc równowagi. Gdzie tej nie ma, tam budowa pada.

Pan. A. pisze rzeczy piękne i rozumne, ale ponieważ należy do obozu postępowego, przeto stronnictwo, wyznające inne zasady społeczno-polityczne odmawia mu talentu. Nie lepiej wiedzie się panu B. który jest konserwatystą, bo jemu postępowi nie chcą przyznać zdolności. Namiętności polityczne tak dalece ogarnęły wszystkie warstwy, że one tylko były skalą, według której mierzono u nas prace ducha. Wszak niedawno temu, bo w r. 1867, stronnictwo arystokratyczne nie chciało uznać talentu Jana Matejki, ponieważ mistrz krakowski ośmielił się był wymalować „Upadek Polski“ w którym myśl demokratyczna była jaskrawo uwidoczniona.

Krytyka potępiająca jest niesprawiedliwą i szkodliwą, bo chociaż prawdziwego talentu nigdy nie złamie, gdyż ten im bardziej podrażniony, tem energiczniej koncentruje się w sobie, i tak długo walczy, dopóki zwycięsko nie wyjdzie, — to jednak nie da się zaprzeczyć, że łamie ona talenta mierne, które przy starannem pielęgnowaniu mogłyby dorzucić niejedną cegiełkę do gmachu narodowego. Potępione na wstępie i tem zwichnięte, błąkają się potem nierozumiane przez nikogo, skarżąc się na wszystkich i żyjąc bez celu.

Niemniej niesumienną i zgubną, a może nawet zgubniejszą jak poprzednia, jest krytyka wszystko chwaląca.

Podczas gdy stronnictwa polityczne, stojące gniewnie naprzeciw siebie, odmawiają talentu swoim współzawodnikom, równocześnie, jakby dla złagodzenia popełnionej niesprawiedliwości, każde z nich wytęża wszystkie siły, aby członków swego obozu wznieść jak najwyżej. Skutek tych usiłowań bywa często ten, że wielkościami stają się osobistości, które na to najmniej zasługują. A jakiemi to środkami odbywa się nie raz takie wywyższanie! Mówiliśmy o panach A. i B. Spojrzyjmy teraz na pana C.

Nie ma on samodzielnych zdolności, w żadnej gałęzi wiedzy sumiennie dotąd nie pracował, brak mu nawet loiki, a ilekroć napisze coś oryginalnego, wpada w taki patos, że czytający wzrusza ramionami i mimowoli pyta: czy ten człowiek nie cierpi przypadkiem na rozmiękczenie mózgu? Takim autorem jest p. C. ale ponieważ obok tych licznych braków, ma łatwość pisania o wszystkiem i o niczem, i ponieważ stronnictwo, do którego należy, nie ma na razie żadnej osobistości, z którejby mogło zrobić sztuczną wielkość, przeto wszyscy biorą się za ręce i z wytrwałością, godną lepszej sprawy, podnoszą swego wychowanka do możliwej potęgi. Pan C. napisał kilka artykułów — bracia, przyjaciele i lepsi znajomi wołają: wielki człowiek! Pan C. napisał broszurkę, która najpobłażliwszej nie wytrzymuje krytyki, — bracia, przyjaciele i lepsi znajomi starają się o reklamy dziennikarskie, i piszą długie korespondencje wołając: arcydzieło! Wprawdzie do dwudziestu czterech godzin arcydzieło runie, bo jeśli nie w Galicji, to w Warszawie znajdzie się sumienny krytyk, który wykaże właściwą wartość broszury, ale cóż to szkodzi, kiedy przynajmniej jedną dobę można się było cieszyć nowym genjuszem!

Takiemi to środkami posługuje się krytyka wszystko chwaląca. Nie rzucamy słów na wiatr. Wprawdzie nie mamy nikogo na myśli, ale gdyby chciano utrzymywać, że u nas tak się nie dzieje, przedłożymy dowody na potwierdzenie słów naszych.

Jeśli na korzyść krytyki potępiającej przynajmniej to można przytoczyć, że zabijając mierne zdolności, przyczynia się do wyrobienia prawdziwych talentów — to w obronie krytyki wszystko chwalącej nie da się nic powiedzieć. Młodzików wbija ona w ambicję, a pisarzom prawdziwie zasłużonym tę krzywdę wyrządza, że na równi z nimi stawia często ludzi, którzy im nie dorośli ani pracą, ani nauką, ani talentem. Pierwsza nic nie buduje, ale zato czasem złe burzy; druga wprawdzie nic nie burzy, ale i nic nie buduje, prócz towarzystw „wzajemnej admiracji.“ Jest ona matką ubezwładnienia i powszechnego idjotyzmu.

Wynurzyliśmy na wstępie nadzieję, że może i w tym kierunku stosunki nasze zmienią się na lepsze. Wychodzące teraz pisma literackie, a przedewszystkiem umyślnie w tym celu założony w Krakowie „Przegląd krytyczny“ powinien stworzyć krytykę sumienną, bez której nie może być mowy o prawdziwym postępie w naszem życiu umysłowem i społecznem, a w wielkiej części i politycznem. Literatura, sztuka i nauka, oddziaływują na społeczeństwo, a jakie to społeczeństwo, taka potem jego polityka. Całe życie narodu to jeden łańcuch, w którym każde ogniwo inaczej się nazywa, ale wszystkie razem tworzą całość nierozdzielną.

O ile to w naszej będzie mocy, przyczynimy się do wzmocnienia tego łańcucha.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

(Ciąg dalszy.)

Był to pokój duży, również sklepiony jak izba warstatowa, ale dość czysto utrzymany i jako tako umeblowany, tu bowiem odbywały się posiedzenia cechowe, tu była tak zwana lada tj. skrzynka okuta, w której mieściły się fundusze cechu szewckiego, z których dawano zapomogi podupadłym majstrom, wdowom, płacono szpital i sprawiano pogrzeby. W ladzie zachowane były przywileje cechu, i dwa mosiężne pozłacane buzdygany, z któremi majstrowie, starszy i podstarszy występowali na procesję Bożego ciała. Drugim sprzętem cechowym był duży stół, przy którym odbywały się narady członków i mały warstacik szewcki, służący przy wyzwolinach czeladników do krajania skóry na obuwie podług miary danej przez zaprzysiężonych znawców. Kanapa i krzesła wypłowiałe i już mocno przez czas zniszczone należały także do cechowego inwentarza. W kącie tego pokoju stało łóżko pana Tomasza nakryte niebieską kapą w duże kwiaty żółte. Nad łóżkiem wisiał maleńki obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, nad nią święci Kryspin i Kryspijan patronowie cechu, a na drugiej ścianie nad kanapą Kiliński i książe Poniatowski, wskakujący do Elstry. Oprócz tych obrazów wisiał w dużych czarnych ramach dyplom majsterski pana Tomasza z roku 1837, który opiewał „że w tym roku, na posiedzeniu urzędu starszych, pan Tomasz Baryłkiewicz stawił się in persona, i w myśl artykułów cechu i postanowienia senatu z d. 26 Maja r. 1813 złożył przepisaną na majstra kwalifikację, a mianowicie utwór mistrzowski reprezentujący parę butów do polowania, a gdy takowa sztuka przez urząd starszych za przyzwoicie zrobioną uznana i przyjęta została, pomieniony urząd starszych pana Tomasza Baryłkiewicza aktualnym majstrem i członkiem tutejszego cechu być uznaje.“

Wypisaliśmy tu umyślnie ten dokument dosłownie, gdyż pan Tomasz przywiązywał do niego wielką wagę ceniąc go o wiele wyżej, niż późniejsze dyplomy wydawane według nowszych ustaw, i w obec młodszych majstrów czuł taką samą wyższość, jaką ma np. hrabia z antenatów w obec świeżo kreowanego galicyjskiego hrabiego. Arystokracja ma w każdej klasie ludzi swoich reprezentantów i zwolenników; pan Tomasz był arystokratą cechowym i w wielkiem poszanowaniu i zachowaniu miał ów dokument swej godności i nieraz rano w niedzielę i święto, kiedy dłużej mógł się wywczasować, z dumą poglądał z łóżka na pożółkły papier, na którym już z trudnością można było przeczytać to, cośmy wyżej wypisali. Pokój w którym wisiał ów dokument i święci Kryspin z Kryspianem i Kiliński i Poniatowski był rodzajem sanctuarium pana Tomasza—i Tekli nawet nie wolno było coś zmienić lub odnowić w urządzeniu zaprowadzonem przez niego. Tu miał on wyłączną władzę. Tekluni oddał do użytku inny pokoik, z oknem na podwórze, który lubo dość ubogo i skromnie umeblowany, utrzymany był bardzo schludnie i gustownie. Tu w oknie między perkalikowemi firankami stały kwitnące, pełne pelargonje, pachnące krzaczki rezedy i mirt przy którym nieraz wiły się dziewczynie miłe marzenia. Nad kwiatkami wisiała klatka z kanarkiem, dla którego Walenty Kopeć przynosił co rano, gdy wracał z przechadzki po prymarji, mokrzyc delikatny z plantacji lub świeżą sałatkę z krowodży. Obok okna łóżko starannie posłane i białą pikową kołdrą nakryte, robiło wrażenie niepokalanej dziewiczości, znać było, że to przybytek cnoty cichej. Naprzeciw łóżka był stolik do roboty przykryty także białym obrusem, na którym teraz leżały pozwijane w wałeczki drobiazgi przygotowane do prasowania. Dalej stała szafa z rzeczami, kuferek zielony i inne sprzęty domowe.

Teklunia wszedłszy do swego pokoiku zdjęła kapelusik i mantylkę, schowała je do szafy i zabrała się do roboty. Walenty sam przyniósł jej gorące żelazko, za co mu wdzięcznie podziękowała i poczęła prasować. W pokoiku było cicho, tak cicho, że słychać było brzęk ćmy nocnej tłukącej się po szybach okien. Z trzeciego pokoju odzywały się od czasu do czasu godzinki Walentego. Teklunia zwijała się prędko, bo dużo roboty na nią czekało. Sobota—robota, to przysłowie bardzo stósowało się do niej; w ten dzień miała najwięcej zajęcia. Naraz coś jej przerwało robotę i zwróciło uwagę w inną stronę. Za oknem w podwórku słychać było stąpanie po kamieniach, a następnie po schodach prowadzących na górę. Tekluni serduszko poczęło bić żywiej i twarzyczka znowu się silniej zarumieniła. Zapewne musiała dobrze znać te kroki. Gdy ucichły wróciła znowu do swego zajęcia z większą jeszcze pilnością, a pracę rozrywała sobie i uprzyjemniała śpiewką nuconą cichym głosikiem. Była to znana pieśń „O gwiazdeczce co błyszczała“. Prześpiewała wszystkie zwrotki tej pieśni, potem zaczęła drugą o Filonie, co czekał za borem, gdy miesiąc zaszedł i psy się pośpiły, potem trzecią o tych dwojgu, co to jedno poszło górą a drugie doliną i dużo innych wynuciła piosnek, skończyła robotę, wreszcie i wieczerzę zjadła z Walentym, którą im mrukliwa Maciejowa przyrządziła,—a ojca nie było widać. Dopiero gdzieś po dziesiątej, gdy już stróż z grzechotką obchodził ulicę, dało się słyszeć dzwonienie u bramy i niedługo potem wszedł a raczej wtoczył się do izby pan Tomasz Baryłkiewicz, wracający do domu pod dobrą datą, jak się wyrażał o nim Walenty. Walenty siedział jeszcze przy robocie i powitał wchodzącego zapytaniem:

— A cóż to sami wracacie panie Tomaszu? A gdzież się Filip podział.

— Filip, Filip — mruczał Tomasz niezadowolony — pan Filip, bo on panie tego jak się nazywa, majster teraz.

— No, jeszcze nim nie został.

— Ale zostanie, bo jest panie tego jak się nazywa familijant i człowiek zasobny. A takim wiele wolno. Dla tego pozwoliłem mu tego panie jak się nazywa do cukierni w uczciwej kompanji. Ja nie poszedłem, bo cukiernia panie tego jak się nazywa, dla panów, dla szlachciców, a dla nas szewców starej daty miodosytnia albo handelek winny i kwita. Ale jeżeli człowiek z lepszej kondycji chce się inaczej zabawić, to ja nie mogę mieć nic przeciwko temu i nikomu nic do tego i basta.

— Jakoś w niedobrym humorze wracacie panie Tomaszu.

— Być może. Gdzie jest Tekla?

— Panna Teklunia już pewnie śpi.

— Pięknych się rzeczy dowiaduję tego jak się nazywa....

— Na pannę Teklunię? kto śmiał co mówić. Pewnie ten Filip coś naplótł.

— Filip, nie Filip, dosyć, że wiem. Dam ja jej romanse a tego urwisa Józka jak pomacam kijem po grzbiecie, to ruski miesiąc popamięta.

— Józio nie urwis, to bardzo porządny chłopak — zaprotestował Kopeć.

— To czemu mi bałamuci córkę? — rzekł Tomasz podniesionym głosem i uderzył laską w podłogę.

— Nie bałamuci, nie prawda. A jeżeli się kochają, to im wolno, bo są młodzi.

— Ale ja nie chcę, nie pozwalam, bo ja mam panie tego, jak się nazywa, inne kombinacje, inne zamiary.

— Może ją chcecie wydać za tego głupiego Filipa?

— Proszę z respektem wyrażać się o Filipie do stu beczek, fur beczek, sto miljonów djabłów! Ja na to nie pozwalam.

— Czy pozwolicie, czy nie pozwolicie, on i bez waszego pozwolenia głupim zostanie.

— Walenty nie przyprowadzaj mnie do pasji.

— Mówię tylko prawdę i śmiało wam powiem w oczy, panie Tomaszu, że jeżelibyście chcieli pannę Teklunię wydać za tę żabę, to zrobicie głupstwo. Zmarnicie tylko dziewczynę i tyle.

— To może ją wydać za tego gagatka Józka, co? Piękny by los zrobiła, nie ma co mówić, w ładną by się dostała familję, syn fuszera partacza, co u żydów robi.

— Syn za ojca nie odpowiada

— No, co on ma? co on ma? Czemże jest? Niczem. A jak pójdzie dobrze, to w najlepszym razie może zostać gryzipiórkiem jakim. Upadam do nóg za taki los. Teklunia jest panie tego jest się nazywa córka majsterska i pójdzie za majstra, będzie sobie majstrową i basta.

— A jak panny Tekluni nie będzie taka wola?

— Dzieci winne są posłuszeństwo rodzicom. Ja tak chcę i basta. Zaraz zobaczymy, czy ja tu jestem panem w domu czy nie. Tekluniu! — zawołał głośno i wszedł do swego pokoju

— Ależ panie Tomaszu, nie róbcie hałasu po próżnicy. Panna Teklunia śpi.

— To mi wszystko jedno. Jestem ojcem i wolno mi wszystko. Tekluniu!

— Zaraz, ojcze. — odezwał się dźwięczny głosik z alkierzyka i po chwili małej wyszła Teklunia już z zaplecionemi w drobne warkoczyki włosami i w koszulce, którą zasłoniła chustką fularową,

— Czego chcesz ojcze? — spytała zbliżając się do pana Tomasza.

Na widok córki buńczuczna mina pana Baryłkiewicza zrzedła trochę i spuścił nieco z tonu; Teklunia bowiem mimo uległości i uszanowania, jakie dla niego okazywała, imponowała mu trochę siłą charakteru i stanowczością, z jaką się w niektórych ważniejszych chwilach zdradzała. Pan Baryłkiewicz instyktowo przeczuwał, że trudno mu będzie nagiąć tę cichą i pozornie miękką naturę do swojej woli. Dlatego też gdy przyszło mu objawić tę wolę w kwestji tak ważnej i wystawić na niebezpieczną próbę swoją powagę ojcowską, ztchórzył trochę i nie wiedział jak się wziąć do tego, a spokojnie, wyczekujące spojrzenie córki jeszcze więcej go mięszało.

— Idzie o to, tego panie, jak się nazywa, że chciałbym z tobą o czemś ważnem pomówić.

— Słucham cię, mój ojcze — odezwała się Teklunia z powagą, która w tej chwili była bardzo nie na rękę panu Baryłkiewiczowi.

— Przedewszystkiem drzwi zamknij od warstatu, żeby mi się ten Kopeć nie mięszał tu nie potrzebnie.

— Pan Walenty życzy nam może lepiej jeszcze niż sobie samemu i nigdy ci ojcze źle nie radził.

— Tak ale tu idzie o sprawy familijne, do których nieradbym, żeby mi się kto mięszał, — rzekł z gniewną miną, do której się widocznie gwałtem nastrajał i wstawszy zamknął sam drzwi od warstatu. Potem wrócił na swoje miejsce i tak dalej mówił:

— Wiesz o tem, — tu krząknął, poprawił się w krześle dla nadania sobie większej powagi — że tego panie jak się nazywa, nie mamy majątku, co było trochę uciułanego grosza, to rozeszło się w złych czasach i że przeto tego panie jak się nazywa losu ci zabezpieczyć sam nie mogę.

— Ja go sobie sama zabezpieczę mój ojcze.

— Czem?

— Pracą.

— Pracą, pracą, ot gadanie i nic więcej. I ja pracowałem a nic nie mam.

Córka nic nie odpowiedziała na ten argument; może nie chciała dotknąć ojca jaką uwagą. On wziął to za potakiwanie z jej strony i ośmielony tem mówił dalej:

— Otóż do tego prowadzę, że jak wiesz Filip po świętej pamięci wuju swoim dostał wcale ładną sukcesyjkę, wcale ładną tego panie jak się nazywa, wygotował już majszterstyk i jutro przyjętym zostanie do cechu, jako majster kunsztu szewckiego.

— I cóż mnie to może obchodzić mój ojcze.

— Powinno cię to obchodzić — ofuknął ją gniewnie pan Tomasz rozdrażniony jej spokojnem i zimnem zachowaniem się — bo Filip oświadczył mi się dziś stanowczo o twoją rękę, rozumiesz? Powinnaś sobie to mieć za szczęście. Człowiek z takiej jak on familji i z majątkiem mógłby sobie Bóg wie jakiej żony poszukać.

— To pozwól mój ojcze niech sobie szuka, bo ja jego żoną nie będę. — Powiedziała te słowa ze stanowczością, która do pasji przyprowadziła pana Baryłkiewicza.

— Nie będziesz? Dlaczego? — spytał gwałtownie — może za mała dla ciebie figura, co? Może pannie śmierdzi szewcka kondycja i radaby wyjść za jakiego filozofa? Wolałabyś pewnie jakiego eleganta z morskiej pianki, co się umie szastać i fertać jak komedjant, a Filip że nie taki gładki i szykowny nie miał szczęścia podobać się, co?

— Nie dla tego mój ojcze; ale po prostu dla tego, że go nie kocham a ja nie rozumiem małżeństwa bez miłości.

— Zrozumiesz ty je, zrozumiesz, jak przepędzę z tąd tego wiercipiętę Józka, który ci głowę zawraca niepotrzebnemi jakiemiś fanaberjami. To jego sprawka. Ale ja ci wybiję z głowy te fumy i romanse. Powyrzucam het za okno te wszystkie kiążki farmazonskie, któremi cię psuje i jego samego wyrzucę, jakem Baryłkiewicz. Ja cię nauczę co to szanować ojca.

— Szanowałam cię zawsze mój ojcze, jak pan Bóg przykazał.

— A dlaczego nie chcesz iść za Filipa? Kiedy to małżeństwo zapewnić ci może los?

— Tam gdzie idzie o moje szczęście pozwól ojcze bym miała swobodę w wyborze.

— I wybrałabyś może tego szubrawca Józka, co świeci wytartemi łokciami. Jeżeli na tem budujesz, to się grubo zawiedziesz, bo pierwej mi tu — rzekł wskazując na dłoń — włosy wyrosną, nim pozwolę na małżeństwo z tym paniczem.

— Bez twego błogosławieństwa ojcze nie poszłabym nigdy za Józia, choć go kocham Bóg widzi; ale żoną Filipa nigdy nie będę, to także pewno.

— Zobaczymy — zawołał w ferworze pan Baryłkiewicz chodząc zamaszystemi krokami tam i nazad po pokoju. — A najprzód zakazuję ci jak najsurowiej widywać się z Józkiem, rozumiesz, a jeżeliby śmiał próg mego domu przestąpić, to się z nim rozmówię po swojemu. Możesz mu to powiedzieć odemnie.

— Czy on ci zrobił co złego? — spytała z wyrzutem, w którym czuć było łzy i rozczulenie.

— Bałamuci ciebie a ja tego nie chcę i punctum. Rozumiesz? Ja nie myślę córki wydawać za jakiegoś tam gryzipiórka, któryby jeszcze potem zadzierał nosa do góry i kazałby mieć sobie to za łaskę, że raczył uszczęśliwić swoją ręką majsterską córkę. O! ja ich znam, oni wszyscy chorują na panów, począwszy od ojca, który nie mogąc zostać uczciwym i porządnym majstrem, chciałby zostać panem i synów swoich wykierować na paniczów. Tego im się też chce.

— Józio takim nie jest — zaprotestowała Teklunia.

— Rodem kure czubate. Nie jest, to będzie. Niedaleko jabłko od jabłoni. Ale niedoczekanie jego, żebym mu kiedy miał dziękować za wielki zaszczyt zrobienia cię panią Dylską. Ty jesteś córką rzemieślnika, córką majsterską, panie tego jak się nazywa, i pójdziesz za rzemieślnika, za majstra, taka moja wola i kwita i punctum pauza, ani słowa.

II.

Dla wyjaśnienia niechęci, jaką żywił pan Baryłkiewicz do rodziny Dylskich, potrzeba nam bliżej zapoznać się z tą rodziną a przedewszystkiem z samym Dylskim. Była to figurka na oko niepozorna. Mały, zawiędły, żylasty; twarz bez wyrazistych rysów, nikła, jedna z tych, które nie zwracają uwagi i nie zostają w pamięci, bez zarostu, nosek okrągły fajeczkowaty, oczy bure i rzadkie, kręte włosy koloru płowego — oto cały portret tej figurki, której jednak życie i charakter przedstawiało ze wszechmiar ciekawe studjum i było wymowną ilustracją stosunków klasy rzemieślniczej.

Życie Dylskiego było ustawiczną walką z losem i z prawem, a raczej z instytucjami cechowemi, z któremi w ciągłą wchodził kolizję przy swojem usposobieniu burzliwem, sprytnem, energicznem i przedsiębiorczem. Pragnienie wydobycia się na wierzch i zrobienia majątku było sprężyną wszystkich czynności tego człowieka niespokojnego i ruchliwego, to pragnienie paliło go i ożywiało do nieustannej pracy. Podobno był on synem chłopskim i nazywał się właściwie Jędrzej Dyl; ale się nigdy do tego nie przyznawał i nawet przed dziećmi i żoną nie wspominał nigdy o swojej rodzinie; z własnej nawet pamięci wymazał wszystko, co się tyczyło jego przeszłości; zerwał z nią bezpowrotnie i wszelki ślad zatarł za sobą. Jako dwunastoletni chłopak przyszedł do Krakowa bosy i obdarty, bez świadectwa i metryki, i zaciągnął się najprzód do murarzy, którym cegły podawał i wapno nosił. Na zimę, gdy roboty murarskie ustały, puścił się na żebraninę a potem wprosił się na posługacza do jakichś akademików. W kamienicy, w której ci panowie mieszkali, był stolarz, jeden z pierwszych stolarzy krakowskich, a że posługiwanie ubogich studentów nie wiele zabierało czasu, więc mały Jędrek w chwilach wolnych zchodził do warstatu, przyglądał się robotom stolarskim, odnosił wraz z chłopcami z terminu robotę do domów, posłużył czasem pani majstrowej w kuchni, pomagał gotować klej, heblować deski i tak jakoś wkręcił się nieznacznie do warstatu, ujął sobie pana majstra Tatarkiewicza, zyskał łaski pani majstrowej, że w krótce stał się jakby domownikiem. Pozwolno mu sypiać na wiórach w warstacie, i nie żałowali łyżki strawy, a że chłopiec okazywał wiele sprytu i chęci do roboty, więc pan Tatarkiewicz zdecydował się przyjąć go na stałego terminatora i zapisać do cechu. Były w tym względzie nie małe trudności, bo chłopak był bez świadectw i metryki, po prostu jakby z kamienia wyrosły i nic pewnego nie można się było dowiedzieć o jego rodzinie, ani o miejscu urodzenia. Mówił, że ojca nie pamięta, że z matką włóczył się po świecie o żebranym chlebie, póki nie umarła w szpitalu, że potem wałęsał się sam tu i owdzie, aż doszedł do Krakowa. Trudno było sprawdzić wiarogodność tych niejasnych zeznań, z których niepodobna było nic pewnego się dowiedzieć o rodzinnych stosunkach i miejscu urodzenia i to było nie małą

przeszkodą w przyjęciu chłopca do cechu. Ale że pan Tatarkiewicz był podstarszym cechu stolarskiego i umiał, jak to mówią czapkę i papkę jednać sobie życzliwość ludzi; więc trudności te jakoś pominięto i Jędrzej Dyl jako sierota zapisanym został w listę terminatorów. (C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

W poprzednim ustępie mówiliśmy o zasadniczym i przyczynowym związku między poezją a malarstwem; teraz wypada zastanowić się nad objawami wpływu wywieranego przez poezję na malarstwo.

Wpływ ten objawia się dwojako.

Jeżeli poezja pewnego ludu lub pewnego okresu, odzieje w szaty mistrzowskiego słowa pojęcia tajemnicze a wielkie, nurtujące w duszy ludzkości; jeżeli plastyką słowa potrafi wypowiedzieć i przedstawić wiekopomne myśli genjuszów; jeżeli jest obrazem pewnego zwrotu w pojęciach ludzkości, a zawiera prawdy filozoficzne i w każdem jej zdaniu słychać potężnego ducha natchnień; wówczas staje się ona pismem świętem dla ludu lub okresu; całe pokolenia wyrastają pod jej wpływem, a wszelki objaw artystyczny takiego ludu lub okresu nosi na sobie piętno duchowe tej poezji.

Poezja wywołująca plastyką słowa postaci wielkie i wyniosłe; czyny potężne w następstwa lub uczucia nieskalane, święte; znajdzie odpowiedni wyraz w dziełach malarstwa, które będzie równie wyniosłe i wielkie w swoich postaciach; równie potężne w przedstawianiu czynów doniosłych, jak czyste w malowaniu uczuć świętych i nieskalanych. Jeżeli poezja będzie narodową, malarstwo takiem samem być musi; słowem — jakąkolwiek treść wybierze artysta do swego obrazu, zawsze wykonanie nosić będzie cechę poezji danej.

Ten pierwszy rodzaj wpływu nazwijmy twórczym, a dla lepszego porozumienia się objaśnijmy go przykładem.

Dante był ukochanym poetą Michała Anioła. Nazywał on Dantego największym mężem, jaki był na świecie, a Boska komedja nie odstępowała artysty nigdy; przed rozpoczęciem każdego dzieła rozczytywał się w Dantem. Przeczytajcie komedję, a potem spojrzyjcie na dzieła Michała Anioła. Treść tych dzieł nie odnosi się do komedji Danta; czerpana ona z historji lub pisma świętego, a jednak sklepienie Sykstyńskiej kaplicy i Sąd ostateczny—to rodzone siostry Dantowskiego ducha. Te same tytaniczne myśli, ta sama surowość pojęcia; równa dobitność charakterystyki, jednaka potęga w odtwarzaniu namiętności i uczuć. Postacie Michała Anioła mają ten sam majestat powagi a zarazem tę samą wewnętrzną burzę duszy, jak postacie dantejskiego piekła i czyśćca; a kto spojrzy na potępionych Sądu ostatecznego, ten musi pomyśleć o Dantem i napisie bramy piekielnej: Kto wchodzi do mnie żegna się z nadzieją!

Jakkolwiek Dante jest twórcą piśmienniczej mowy włoskiej, nie jest jednak poetą narodowym, a Michał Anioł tworzący jego duchem jest wszystkiem dla Włoch tylko nie narodowym malarzem; zatem nawet pod tym względem objawia się duchowy wpływ poezji dantejskiej.

Teraz przypatrzmy się drugiemu rodzajowi wpływu poezji na malarstwo.

Każdy z nas wie, że poezja pewnego ludu jest wiernym obrazem jego uczuć i myśli, jestto jakby idealny posąg narodowej duszy. Religja, zwyczaje i obyczaje, dzieje i legendy, klęski i tryumfy narodu znajdują odpowiedni wyraz w poezji jego. Wszystko co naród kocha lub nienawidzi, co przeszedł i do czego dąży, opowiada mu poezja, a opowiada tak potężnie i z sercem, że jej słowa zostają w duszy narodu na zawsze, jako nieodłączna jej własność. Na każdy objaw artystyczny patrzy naród oczami swej poezji. Dla tego każdy artysta, który rozumie naród i jego dążenia, który duszą swoją objął myśl jego dziejową, musi tworzyć w duchu narodowej poezji; w niej musi szukać natchnień do dzieł swoich, a jeśli chce być rozumianym, obiera za przedmiot dzieła, czyn, człowieka lub chwilę historyczną, które z pomocą poetycznego słowa już przedtem narodowi stały się drogiemi.

Jeśli więc malarstwo z poezji czerpie treść do dzieł swoich, czyli odtwarza postacie i czyny opowiedziane natchnionem słowem pieśni, możemy ze słusznością nazwać ten rodzaj wpływu odtwarzającym.

Odkąd istnieje malarstwo jako sztuka samodzielna, wpływ ten był czynnym i objawiał się wszędzie w dziełach artystów; ale podczas gdy wpływ pierwszy t. j. twórczy mógł się pojawiać jako pojedyńczy czynnik artystyczny fantazji, wpływ drugi t. j. odtwarzający występował tylko w połączeniu z pierwszym. Inaczej być nie może, gdyż dzieło, któreby wzięło treść z narodowej poezji, a nie było wykonane w duchu tej poezji, byłoby anachronizmem, jako nie posiadające głównego warunku prawdziwego artyzmu — zgodności ducha i formy. W dalszym ciągu będziemy mieli sposobność pokazania na przykładzie takiego anachronizmu.

Wróćmy jeszcze do wpływu odtwarzającego i zapytajmy — jak się zachować może artysta czerpiący z poezji treść do swego utworu.

Tylko dwiema drogami może iść artysta.

Jeżeli malarz będący pod wrażeniem poematu obiera za przedmiot do dzieła swego, pewien motyw poematu lub uczucie w nim zawarte, wówczas nie potrzebuje trzymać się ściśle słów poematu, byle jego ducha zachował. Tu fantazji artysty szerokie do działania otwiera się pole; nie jest ona związana formą, może swobodnie lot swój rozwinąć. Jest to zarazem najtrudniejszy rodzaj kompozycji czerpiącej treść z poezji, gdyż wymaga równie bogatej twórczej fantazji własnej, jak głębokiego przejęcia się i zrozumienia ducha poety. To też utwory tego rodzaju mogą jedynie zrodzić się pod ręką arcymistrzów, średnie talenta nigdy nie dorastają zadania. W szeregu artystów, którzy pielęgnowali ten rodzaj kompozycji liczymy takich genjuszów jak Michał Anioł i Rafael, Tycjan i Veronese, Cornelius i Kaulbach.

Dla dokładniejszego porozumienia się o rodzaju takiej, z poezji czerpanej kompozycji, wyszukajmy jaki obraz z naszej narodowej sztuki. Nie potrzebujemy sięgać w daleką przeszłość.

Kiedy nasz Matejko był jeszcze mniej sławnym i sławionym jak dzisiaj, wymalował obraz mniejszych rozmiarów i zatytułował go: „Kochanowski przy zwłokach Urszulki.“ Przedstawia on poetę czarnoleskiego, jak rękami objąwszy trumienkę, patrzy się w niemą, zastygłą twarzyczkę swego ukochanego dziecięcia.

Artysta utworzył ten obraz pod wrażeniem Kochanowskiego Trenów; a jeżeli jako człowiek, głęboko odczuł tę boleść ojca, ten żal poety, to jako artysta nie znalazł spokoju duszy, dopóki tego żalu, tej boleści, nie zaklął w rysunek i barwy; dopóki wrażenie nie odtworzyło się w dziele sztuki. Artysta nie wziął za treść do obrazu pewnego ustępu z trenów, bo jako utwor liryczny malują one uczucia, nie działanie; obrał tylko za motyw obrazu uczucie żalu po stracie dziecka, jaki tak genjalnie oddały treny. A jak go oddał artysta! Gdy patrzysz na obraz zdaje ci się, że ten ojciec za chwilę wybuchnie płaczem i legnie całem ciałem na trumnie drogiego dziecka, taka tam z każdego rysu patrzy boleść, rozpacz, taka samowiedza nieszczęścia, obok budzącej się w sercu rezygnacji i wiary. A to dziecko! Ono umarło, a jednak w tej niemej twarzyczce znać, że to była „ucieszna“ dziecina, pociecha poety, jego duma, radość; jego wszystko! „Nie ma jej!“ ten wykrzyk poety słychać w całym obrazie artysty i to właśnie stawia malarza na równi z poetą. Można ostrym skalpelem krytyki oceniać i wykazywać błędy technicznego wykonania w obrazie artysty, nie mniej jednak czyni mu on zaszczyt i zostanie na zawsze klejnotem naszej sztuki. Poważyć się oddać żal ojca, który napisał treny i wyrównać mu w oddaniu boleści jeden tylko może — Matejko.

Sądzę, że przykład ten wyjaśnił dostatecznie rodzaj kompozycji, będącej pierwszą drogą jaką może obrać artysta czerpiący treść do obrazu, z poezji.

Jeżeli artysta rozczytujący się w poecie zrozumie ducha jego i słowa poety wywołają bratnie dźwięki w duszy malarza, a jego indywidualne usposobienie zbliża się do usposobienia poety; wówczas wstają w duszy artysty całe sceny poematu tak żywo i plastycznie, że fantazja jego artystyczna musi się objawić na zewnątrz, odtworzeniem scen z największą ukochanego poety. Wówczas artysta ze czcią prawie religijną zachowuje w obrazie wszystkie szczegóły opisane przez poetę; tworzy nie tylko w jego duchu ale także jego formą, trzymając się co do słowa wyrażeń poematu. Ten rodzaj kompozycji nazwiemy ilustracją poetów, w najobszerniejszem słowa znaczeniu. Rodzaj ten malarstwa nie należy także do nowych zdobyczy na polu sztuki; już starożytność miała swych ilustratorów, a jeśli powiem, że Michał Anioł ilustrował Boską komedję Dantego, czynię to dla tego, aby przypomnieć jednemu z poważnych krytyków, że nie sami „jedynie ludzie bez fantazji mogą się trudnić ilustracjami poetów.“ Jeżeli już samo zrozumienie i odczucie poety, wymaga sporego zasobu artystycznej fantazji o ileż więcej jej potrzeba, gdy przychodzi nadać dotykalny kształt, idealnym postaciom poetycznego natchnienia! Że rodzaj ten nie jest łatwym, zobaczymy później, oceniając naszych ilustratorów. (C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. KOSZCZYCA.

I.

Najpiękniejszą miejscowością w Anatolji, nad wybrzeżem Czarnego morza, jest niezaprze-

czenie Kierasunda, starożytne Cerasus. Ląd i morze stykają się tu w całej potędze kontrastów, a wciąż grzmiące fale, rozpryskując się o twarde żebra skał bazaltowych, okrytych szmaragdowym płaszczem zieleni, niepojętą muzyką odzywają się w głębi duszy. Miękkość igrającej wody z hartem ponuro najeżonych głazów, staje do walki jak ponętna lubieżność z cnotą ascetyczną. Nie darmo starożytni wyprowadzili Wenerę z piany morskiej.

Mała zatoka, przy której rozsiadło się miasto, kończy się na północno-wschodnim krańcu przylądkiem, z wysoką urwistą skałą, a na jej wierzchołku wznoszą się malowniczo mury starożytnej twierdzy bizantyńskiej, dziś w części zrujnowanej. Podanie twierdzi, że w niej Grecy, po zdobyciu przez Turków całej okolicy, przez pięć lat jeszcze bronili się mężnie. Widok ponury tego zabytku zamierzchłych czasów, robi wrażenie widma zaklętego, zawisłego nad żyjącą tonią morską, zkąd wydobywająca się pieśń syrenia przykuwa je do miejsca, na podziw i urągowisko czasom.

U stóp skały wije się zębaty i poszczerbiony mur obronny, a od niego wzdłuż brzegu, ku zachodowi, ciągnie się miasto wstęgą białych domów, po nad któremi strzela w niebo kilka kończastych minaretów. W morzu widać porozrzucane niskie czarne skały, a tuż nad jego powierzchnią piętrzą się nagle góry, przeszło tysiąc stóp wysokie. Góry te, poszarpane wąskiemi dolinami ruczajów i rzeczułek, tudzież okryte orzechowemi ogrodami leszczyny tureckiej, która miejscami koronuje olbrzymie głazy pionowe, pomimo całej swej dzikości, mają w sobie wiele uroku i życia. W ogóle widok Kierasundy, ujętej w ramę gór skalistych i morza zasianego głazami, przypomina niektóre widoki Szwajcarji.

Przed miastem, bliżej stóp przylądka, wysuwa się w morze okrągła skała, równa z wybrzeżem, z wykutą na niej baterją nadmorską; z po nad jej parapetów wyglądało w czasie naszego opowiadania kilka starożytnych śmigownic. Na środku, przed wejściem do baterji, stało parę domków parterowych, noszących szumny tytuł koszar artyleryjskich, w których mieścili się rybacy i przewoźnicy tureccy, stanowiący zarazem i załogę artyleryjską. O kilkanaście kroków w tyle, za koszarami, po nad piaszczystą drogą wznosił się na brzegu piętrowy dom ze sterczącą w jednym rogu wiechą sygnałową, otoczoną siecią lin, naciągniętych ku ziemi. Była to ajencja *Méssagéries impériales*.

Dom ajencyjny zbudowany podług wzorów krajowych, nie różnił się wiele od innych, chyba tem że w oknach zamiast krat — miał żaluzje zielone i był porządniej utrzymany. Ale za to przytykający do niego mur ogrodowy z ziemnej cegły, a raczej ozdoba jaka stała na nim, więcej mówiła o jego mieszkańcach. Tą ozdobą było popiersie lwa pozłoconego, które widocznie pochodziło z rozbitego statku. Król pustyni na murach ajencji francuskiej, obrócony groźnie ku baterji tureckiej, mógłby obudzić wysokie podejrzenie... gdyby nie ogromne blaszane okulary, które zdobiły jego nos majestatyczny. Ten dodatek humorystyczny świadczył, że po za powagą rządu francuskiego przemyciło się coś nieurzędowego, jakiś żart niewinny.

Istotnie, ajentem kiersuudzkim był na onczas Polak, kapitan M. emigrant z 1831 r. słynny na całe Czarne morze od Batum po ujście Dunaju z wesołego humoru i rubasznego dowcipu.

Okazałej powierzchowności, przytem czerstwy jak rydz, nasz siedmdziesięcioletni wojak znakomicie reprezentował naród i był duszą małego światka tamecznego. Nic się bez niego w Kierasundzie nie obeszło. Objady, wieczory, chrzciny, pogrzeby, wesela — wszystko musiało widzić kapitana; słowem, czy to w smutku czy w radości, ucywilizowańsza część kierasundzkiej publiczności dzieliła się z nim najdroższemi swemi wrażeniami. Najciekawszem wszakże było, że i muzułmańska arystokracja miejscowa poddawała się berłu frenkskiego zwyczaju które drzierżyła wszechwładnie kapitańska ręka, pomimo że cała umiejętność jej właściciela w języku tureckim redukowała się do powiedzenia: dzień dobry i dobry wieczór — (*sabahłar hair ołsun* i *achazacmiar chair ołsun* oraz słów — *zarar jok!* (nic nie szkodzi) dodawanych w rodzaju sentencji wszędzie, bez względu na ich stosowność. Krótko mówiąc, staropolski dobry humor i szeroka gościnność oraz dobre serce kapitana, więcej jak urząd zapewniły mu najznakomitsze stanowisko w tej grecko-tureckiej mieścinie.

Turecka połowa mawiała o nim — *„ei adam“!* a chrześcijańska — *„kalo antropos“!* co na jedno wychodziło, że ajent był najlepszym człowiekiem, któremu wszystko ulegało. Ale wróćmy do ajencji.

W jej progach gościnnych, pod koniec maja 1869 r. zebrało się nasze dosyć liczne towarzystwo, mające nazajutrz wyruszyć na rekonensans drogi z Kierasundy do Kara-Hissar, miejscowości o 24 godzin odległej. Wycieczka ta, nie mogła obejść się bez kapitana, który osobistemi stosunkami przyczynił się głównie do przekonania rządu tureckiego, że szosa na tej linji jest niezbędną, i dla tego to w przeddzień wyprawy uznaliśmy za stosowne zgromadzić się u niego.

Mrok wieczorny osiadał na zielonych górach, ostatni odblask zachodu padł na wygładzoną toń morską, gdyśmy licznie zasiedli do stołu gościnnego gospodarza. Nie brakło gwaru, większość bowiem składała się z Polaków i Francuzów, a Turek, Włoch i Grek, których mieliśmy w naszem gronie, nie należeli także do zakonu trapistów.

Atmosfera stołowa do tego stopnia była ożywioną, że nawet Tahir-effendi, Turek, oficer sztabu, wynalazł dla siebie odpowiednią towarzyszkę do dyskursu w osobie pięcioletniej Maryni, wnuczki gospodarza, która tak dobrze mówiła po turecku jak po polsku. Rej atoli wodził u stołu inny gość p. B., Francuz z gatunku Owernjaków, który świeżo awansował z konduktora francuskiego na nadinżyniera tureckiego, i ztąd uważał się upoważnionym do stanowczego decydowania o wszystkiem. Przystojny, pulchny, rumiany, z okiem zerkającem, miał w sobie coś tak słodkiego, prawie fruktowego, że to wszystko, dodane do podobieństwa w brzmieniu nazwiska, natchnęło dowcip kapitański nazwać go Abricot'em.

Podawano właśnie na ostatnie danie pieczeń z dzika, upolowanego w którymś ogrodzie tuż pod miastem, co w tamtych stronach bywa zdarzeniem bardzo pospolitem. Na ten widok, rozgrzana winem twarz nadinżyniera, nabrała wyrazu namaszczenia, nozdrza chwytały delikatny zapach zwierzyny, a głos jego miał coś proroczego.

— Tak, moi panowie mówił p. B. — twierdziłem zawsze i powtarzam, że ucywilizowanie Turcji zawisło od wprowadzenia do tutejszego gospodarstwa wiejskiego, tego oto szlachetnego zwierzęcia, ma się rozumieć oswojonego, które tak mile uśmiecha się do nas z półmiska!..

— Masz rację, mój drogi Abricot! Cóż może być weselszego nad waszą cywilizację! Dodawszy do niej legjon paryskich episjerów i gryzetek, zamienimy wkrótce Stambuł na Paryż i nie będziesz potrzebował wzdychać tak często do pięknej twojej ojczyzny...

— Żartujesz ajencie! ale nauka nowożytna wcale poważnie tę rzecz traktuje i dowodnie przekonywa, że Europa dzisiejszą wielkość swoją zawdzięcza głównie tłuszczowi z tego oto stworzenia. — Tu ręką wzkazał półmisek. — Przedewszystkiem nie łudźmy się,—ciągnął dalej poważnie. — Wielkość nasza nie może być idealną, lecz fizyczną; pokarm przeto w dziejach kultury świata zajmuje pierwszorzędne stanowisko. Użycie tego pożywnego pokarmu dodało europejczykom energji i wytrwałości, dwóch wielkich zalet, których brakuje tutejszym krajowcom.

— Facecje kochany Abricot! Jeźli o sile chcesz się przekonać, to pomocuj się z którymkolwiek z tutejszych niedźwiedzi; żywią się oni wprawdzie czosnkiem, fasolą, serem i wodą, ale mają taką siłę, że przed nią nie tylko twoja głęboka nauka ale i nasi herkulesi musieliby uchylić karku...

Tahir-effendi zdawał się najuważniej przysłuchiwać całej rozmowie, chociaż nie wiele umiał po francusku, a gdy kapitan skończył, zaśmiał się od ucha, do ucha, i połknął ogromny kawał wzbronionej pieczeni.

— Dzik! krzyknęła po polsku Marynia — jakby mu w tem chciała przeszkodzić, czego on atoli nie zrozumiał...

— *Zarar jok!* — dodał kapitan i przeciął dalszą dyskusję nad przedmiotem, którym dotąd zajmuje się nie jeden z poważniejszych umysłów na Wschodzie.

Pan nadinżynier należał także do tych powag; ale jakkolwiek wielki zwolennik teorji darwinowskiej, nie mógł wszakże iść w zawody z niektórymi ziomkami samego Darwina, którzy prawie z religijnym fanatyzmem wyznawali kult porcofagji. Głośnym był na cały Wschód przykład bohaterskiego zaparcia się pewnego angielskiego konsula, pana X. w Laryssie, który przed dziesiątkiem lat gwoli tej teorji poświęcił całą swoją familję. Pomimo iż w tamtych stronach powszechnie znaną jest rzeczą, że wieprzowina w gorącym klimacie działa jak trucizna, karmił nią całą rodzinę, a gdy mu dwie żony i wszystkie dzieci pomarły, niezmordowany i nie zrażony, ruszył do ojczyzny po trzecią żonę, aby ostatecznie przekonać zacofańców o zgubnej wierze w zabobony... Wróćmy jednak do wieczerzy, którą zakończyliśmy rzęsistemi kielichami krajowego wina na powodzenie jutrzejszej wycieczki.

Od wina do marzeń nie daleko; ale na ten raz sama rzeczywistość, jaką ujrzeliśmy przez okna, nie jednego trzeźwego europejczyka mogła ku sobie pociągnąć w krainę fantastyczną. W wąskiej uliczce, przytykającej do ajencji, ukazał się szereg duchów w bieli. Byli to goście kapitańscy, płeć piękna kierasundzka, a za niemi mężczyźni.

Latarki migotały naokoło domu, i białe po-

staci zakutanych w prześcieradła („czarczaf") pań i panien jedna po drugiej ginęły w czarnych podwojach. Powoli, w milczeniu napełniła się sala. Damy usiadały jedna przy drugiej, chociaż ten manewr utrudniało umeblowanie europejskie. Była to miejscowa arystokracja chrześcijańska: konsulowe, kupcowe, sekretarzowe. Stroje ich świetne, jedne europejskie, inne narodowe wschodnie, dawały wyobrażenie o bogactwie, lecz nie o guście. Niezgrabne suknie z drogich materji, kapiące od złota i klejnotów, robiły je podobnemi do naszych częstochowskich malowideł. Od tego tła dziwnie odbijały kobiety europejskie, zwłaszcza córka gospodarza, która wzrosła i wychowała się w Królestwie.

Mieliśmy przed sobą wcielony odczyt o wyrazie twarzy i guście. Walka klasycyzmu z romantyzmem występowała tu w żywych kształtach. Komuż nie wiadomo, że piękność kobieca była i będzie niezwyciężoną, ilekroć wyraz duszy zapanuje u niej nad formą zewnętrzną. Panie czysto wschodniego pochodzenia, pomimo rzadkiej regularności rysów twarzy i antycznej budowy ciała, musiały ustąpić palmy pierwszeństwa współzawodniczkom europejskim, których mniej klasyczne i plastyczne powaby, ożywiał wyraz duszy. Zdanie to podzielali wszyscy mężczyźni, nie wyjmując Turków nawet, jak to widać było na poczciwym Tahir-effendim, który ciągle zerkał w stronę pań europejskich.

Wszystkie te Elenki i Kalinki, siedzące wyprostowane jak ptactwo na grzędach i śledzące badawczem okiem każdy szczegół stroju swych sąsiadek, były co najmniej niesłychanie nudne. Napróżno usiłowały ożywić towarzystwo damy europejskie. Ołowiana atmosfera ciężyła nad zgromadzeniem, a ze zbitego zastępu pań wschodnich wyrywały się same wykrzykniki: „Ochi!" „Charisto!", któremi dziękowały za podawane konfitury i kawę, główne przysmaki każdego zgromadzenia na Wschodzie.

Prawdopodobnie nudy byłyby trwały do końca, ale na szczęście nasze znalazła się w salonie fis-harmonika, której dźwięki miały nas zająć i rozweselić.

Wkrótce poważny głos instrumentu, jedynego w całej Kierasundzie, napełnił powietrze. Ale i muzyka nie wielkie robiła wrażenie na krajowcach, których uszy przyzwyczajają się od młodu do swojskich melodyj, rodzierających uszy każdemu europejczykowi. Niepostrzeżenie mijały sztuka po sztuce, aż na ostatku rozległ się wojowniczy dźwięk Marsyljanki.

W oczach Francuzów i Francuzek błysnął żywszy ogień, i każdy machinalnie posunął się ku instrumentowi.

Jeszcze tony muzyki nie przebrzmiały gdy usłyszeliśmy wielki ruch za drzwiami. Wkrótce na środek sali wtoczył się miejscowy kajmakan O. bej a za nim jur-baszi żandarmerji (kapitan), dwaj czibukczi i żandarmi.

Bej serdecznie powitany u progu przez gospodarza, stosownie do zwyczaju, stał jak wryty na środku sali, szukając pilnym wzrokiem odpowiedniego miejsca dla swej dygnitarskiej godności, którego jednak przy europejskiem umeblowaniu zrazu znaleźć nie umiał. Zwykle róg sofy (sedir) bywa miejscem honorowem, ale tutaj po rogach sali nic nie było, na środku zaś stała tylko kanapa, na której majestatycznie siedziały rzędem „kokony" i „karicy" (panie i panny.) Pozycja była krytyczna.

Atoli wahanie nie długo trwało i zaborczy instynkt muzułmański kwestję rozstrzygnął. Rezolutnie posunął się ku kanapie, skinął ręką na damy, aby się usunęły, i z zadowoloną miną zajął swój róg honorowy, zkąd dokoła z gracją wszystkim ukłony pooddawał. Pobite i rozproszone Kalinki i Elenki z pod oka spoglądały na Turczyna i złośliwie uśmiechały się, poruszając przytem rękami jakby coś z sukien zrzucały, co na Wschodzie jest znakiem pogardy.

Pani domu pospieszyła przywitać gościa, który na jej grzeczności, uśmiechając się, półgłosem dziękował. Nagle grspodyni, Francuska, zapomniawszy że mówi z Turkiem, w sposób najtroskliwszy zapytała, jak się mają kobiety w jego haremie?

Bej odparł na to spokojnie:

— A tyś nie chora?...

Pani M. aż się żachnęła, przypomniawszy sobie, że ten niedwuznaczny przycinek odnosił się do niezgrabności jaką popełniła, pytając beja o jego żony publicznie.

— Piękna muzyka — powtarzał bej, słysząc Marsyljankę — a co to takiego?

Siedzący obok kupiec, Grek, starał się mu objaśnić, że jest to hymn narodowy francuski, ale nieurzędowy.

— A! rozumiem, rozumiem, to marsz Garibaldego! Ty Kostoki często jeździsz z orzechami do Tagourogu i Odessy, toś go musiał zapewne widzieć?

— Garibaldi Włoch, zkądżeby się wziął w Rossji?

Co mówisz duszko! wszak Garibaldi jest wszędzie, ba, nietylko u Moskali, ale i u was Helenów?

— Ewet effendim! (tak) — odpowiedział uśmiechając się chytry Grek, aby potakiwaniem zjednać sobie dygnitarza, nie dziś to jutro potrzebnego.

Po kawie, konfiturach i rozmowie o Garibaldim, towarzystwo europejskie widocznie zaczęło nudzić beja, a że i jego obecność nie wiele przyczyniała się do urozmaicenia wieczoru, więc złemu postanowił kapitan zaradzić po swojemu.

— Język jest kluczem do wesela, czy tak? — rzekł przez tłumacza do beja.

— Nieinaczej! — wesoło odparł zapytany.

— Otóż umyśliłem zaznajomić cię ze sposobem, za pomocą którego można się z każdym porozumieć. Chodź tylko na dół, a tam odkryję ci cały sekret. Będziesz mówił swobodnie ze wszystkiem i wszystko do ciebie. O takiej sztuce jeszcześ nie słyszał.

Wyszedł bej uśmiechnięty, a za nim jego otoczenie urzędowe; gdy zeszli na dół, zaprowadził go gospodarz do altany w ogrodzie; tu kazał przynieść butelkę wódki, oraz zimne przekąski i po przypiciu w ręce gościa, pozostawił go samowtór z alkoholem, który miał nauczyć beja wszystkich języków. Pan gubernator pił i pił dopóki dna butelki nie zobaczył; poczem nie żegnając się, został wzięty przez służbę pod ręce i odprowadzony do domu. Moskiewscy dygnitarze, tak cywilni jak wojskowi, nie pogardzają napojem, lecz pod tym względem nie stoją jeszcze na tym stopniu doskonałości, co świat urzędowy turecki, który co wieczór znajdnje się w stanie zupełnej niepoczytalności.

Około północy zaczęliśmy rozchodzić się w różne strony, a jednocześnie wszczął się na brzegu ruch niezwyczajny, gdyż nadchodził statek z Trebizondy. Ruch na brzegu morza przy zapalonych smolakach i pluskaniu wody o brzegi, wreszcie skomlenie szakalów w pobliskich ogrodach, dziwnie odbijały od naszej gwarliwej gromady, idącej środkiem uśpionego miasta. Zalewdieśmy na progu stanęli, zanucił północną pieśń „bekczi" (stróż nocny) i z nim razem gwizdnęła świstawka parowa na pokładzie płynącego parostatku. (C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

Było to dnia 5. maja 1803 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbywało publiczne swe posiedzenie, a oświecone warstwy ówczesnej ludności warszawskiej żywy spieszyły przyjąć udział w tej uroczystości naukowej.

Na posiedzeniu tem, czyli, jak wówczas mówiono, na jawnej sesji, członek towarzystwa, Kortum, czytał rozprawę swą „O łączeniach światła." Była to ostra filipika przeciwko tym, którzy światło uważać chcą za objaw jakiegoś ruchu, za zjawisko a nie za ciało. Światło, głosił stanowczo Kortum, jest pewnem ciałem, jest pierwiastkiem chemicznym, równie jak ciepło: oba te czynniki mogą się łączyć z ciałami tak samo, jak się z niemi łączy tlen lub wodór; ciało jasne jestto ciało połączone ze światłem, czyli raczej świetlikiem, niby istotą światła; ciało ciemne jest owego świetlika pozbawione. Od tlenu i wodoru działacze owe fizyczne różnią się jedną tylko okolicznością, że nie mają ciężaru: są to „płyny nieważkie."

Pojęcia te zresztą nie stanowiły wyłącznego poglądu owego członka towarzystwa przyjaciół nauk, hołdowali im podówczas mężowie tak genjalni jak Lavoisier i Jędrzej Sniadecki; tłómaczy się to gwałtownym postępem, jaki w owym własnie czasie czyniła chemja, pod prawa której starano się jak największą ilość zjawisk podciągnąć.

Od owych poglądów, jakieśmy dziś daleko odbiegli! Nauki przyrodzone przebyły w tym czasie olbrzymią drogę, a pojęcia naukowe z początków obecnego wieku należą już do starożytnego okresu nauki. Któż zechce utrzymywać, że mogą istnieć jakoweś ciała bez żadnego ciężaru, czyż znajdzie się jeszcze ktokolwiek, coby w obronie płynów nieważkich kopję chciał kruszyć? Nauka o świetle należy dziś do najbardziej wydoskonalonych oddziałów wiedzy ludzkiej; objęła i wytłomaczyła cały szereg owych pysznych zjawisk, jakie światło wywołuje, przewidziała i przepowiedziała cały szereg objawów tak zawiłych, że spostrzeganie i doświadczenie nigdyby nam ich ukazać bezpośrednio nie zdołały.

Odkąd człowiek zaczął się z rozwagą otaczającemu światu przyglądać, drażniło go pytanie, w jaki to sposób świat ten w jego oku się odmalowuje? Czy widzimy rzeczy przez to, że światło po linjach prostych od nich do oka naszego dobiega, a to wrażenie odebrane do mózgu odsyła, czy też oko nasze samo wysyła, promieniuje światło ku przedmiotom zewnętrznym? Umysł dziecięcy jest zapewne skłonnym do przyjęcia ostatniego przypuszczenia, bo z zamknięciem oka widzieć przestaje. Wszakże okoliczność ta równie dobrze przemawia i za tem, że światło z zewnątrz przez zamknięte powieki przedrzeć się nie może. A gdy zważymy, że w ciemnym pokoju, jakkolwiek powieki są podniesione, nie

zdołamy rozpoznać przedmiotów, musimy natychmiast się zgodzić, że światło jest zjawiskiem zewnętrznem, a nie naszą wewnętrzną własnością.

Ale gdy zapytamy dalej, jakim sposobem światło od jasnych lub oświetlonych przedmiotów do oka naszego dobiega, napotykamy większą trudność w odpowiedzi. Przedstawiają się nam tu dwie drogi: albo światło dochodzi do oka, podobnie jak cząstki odrywające się od ciał wonnych, które wprost dochodzą zmysłu powonienia; albo też za pierwowzór do wytłómaczenia objawów światła posłużyć nam mogą zjawiska głosowe. Źródłem bowiem dźwięku niemal widocznie są drgania ciał go wydających; drgania te udzielają się powietrzu otaczającemu, tworzą w niem fale coraz się szerzej rozbiegające i uderzające ucho nasze.

W owych dwu poglądach, którym za podstawę służy analogja do wrażeń dwu zmysłów, leży zaród dwu teoryj, które aż do trzeciego dziesiątka bieżącego stulecia ze sobą walczyły. Teorja pierwsza — wypływu, emisyjna czyli emanacyjna przyjmowała, że ciała świecące wysyłają, wyrzucają z siebie niesłychanie drobne, subtelne cząstki światła, które z niepomierną biegąc szybkością, rozchodzą się po przestrzeni. Druga teorja — drgań, falowań czyli tendulacyjna przypuszcza istnienie materji niewypowiedzianie subtelnej, lekkiej, która wypełnia całą przestrzeń światową, gromadzi się koło cząstek ciał, zapełnia drobne przestwory międzycząsteczkowe; w ciele świecącem cząstki pozostają w drganiu bardzo żywem, a drganie to od nich przechodzi na cząstki owego dziwnie subtelnego płynu, zwanego eterem i rozchodząc się w postaci fal olbrzymich w owym wszechświatowym oceanie, dochodzi nakoniec do oka i sprawia w niem wrażenie światła, podobnie jak drgania powietrza objawiają się w uchu jako głos.

Długo, powiedzieliśmy, trwał zacięty spór między obu tych hypotez stronnikami — i zaiste rozstrzygnięcie nie było łatwem: obie one jednakowo dobrze, jednakowo łatwo tłómaczyły wszystkie znane zjawiska świetlne; ale poznano zjawisko, którego jedna już objąć nie zdołała i musiała runąć. Zjawisko, o którem mówimy, da się streścić w ten sposób, że światło do światła dodane wydać może zupełną ciemność. Pierwszych śladów tego spostrzeżenia dopatrzyć się możemy w pracach Hooke'a i Grimaldi'ego w XVII wieku; ściśle atoli jego wykazanie i wytłómaczenie jest zasługą dopiero naszego stulecia. Young w r. 1802 wpuścił do ciemnego pokoju dwa promienie światła, które się ze sobą przecięły pod bardzo małym kątem; przekonał się wtedy dowodnie, że w miejscu przecięcia powstaje, stosownie do okoliczności, już wzmocnienie światła, już ciemność zupełna. Pracę fizyka angielskiego prowadził dalej z całym zapałem Fresnel, nadawszy swym doświadczeniom ścisłość dawniej nieznaną i wskazał dogodne sposoby ich wykonywania. Wszyscy mogli się naocznie przekonać, że dwa światła dodane do siebie mogą się w niektórych warunkach nawzajem znosić. Do praw tych będziemy musieli następnie jeszcze wrócić, tu wspomnimy tylko, że dla istotnego zniesienia światła oba promienie powinne być jednobarwne — oba czerwone lub oba niebieskie.

W obec powyższego spostrzeżenia teorja wypływu utrzymać się już nie mogła: w istocie, jeżeli światło złożonem jest z subtelnych cząstek, to tam, gdzie się schodzą promienie, ilość tych cząsteczek się powiększa, światło zatem zawsze winno być silniejszem. Inna rzecz, gdy światło uważamy za objaw ruchu drgającego, falowego, — tu wszelka trudność ujęcia tego zagadkowego zjawiska ginie. Uważmy najprostszy ruch falowy — poziom jeziora wzburzony lekkim powiewem watru; widzimy tam, jak fale przesuwają się jedna za drugą, tworząc naprzemian wzniesienia i wklęsłości, czyli góry i doły. U brzegu jeziora fale te się odbijają i rozpoczynają drogę odwrotną; tam się spotykają z falami naprzeciw nich idącemi i z niemi się krzyżują czyli interferują. Tam łatwo zauważyć możemy, że gdy góra fali jednej z dołem się innej schodzi, działanie ich się znosi, woda w tem miejscu zostaje w spoczynku. Zupełnie podobne działanie wyobrazić sobie możemy w falach eteru: gdziekolwiek następuje podobne zejście się dwu fal, cząstki eteru pozostaną w spoczynku, drgania nie ma — następuje ciemność.

Na tych to pomysłach Young i Fresnel oparli wspaniałą swą teorja światła; przeciwnicy ich powoli się na wielkie imię Newtona. W istocie genjalny ten myśliciel był stronnikiem teorji wypływu, zapominano jednak, że dla wytłomaczenia zjawisk światła, znanych za czasów Newtona, teorja wypływu wystarczała dostatecznie. Nie zważali ci wielbiciele wielkiego męża, że wyzyskując błąd jego, największą mu sprawiają obelgę; cześć najwyższą oddają genjuszowi ci, co na jego pracach się opierając, dalej gmach wiedzy budują.

Zastęp atoli dzielnych umysłów stanął po stronie Younga i Fresnela. Pierwszorzędni matematycy, że wspomnimy tu tylko o Cauchy'm, wyprowadzali wszelkie możliwe następstwa teorji drgań, a wszystkie ich wnioski teoretyczne doświadczenie najzupełniej stwierdzało. Przepowiadanie zaś takie, przewidywanie zjawisk nieznanych, stanowi właśnie próbę ogniową każdej hypotezy, a dziś mówiąc, że światło jest objawem ruchu drgającego, możemy to utrzymywać z taką pewnością, do jakiej tylko umysł ludzki zdolnym być może. W całym obszarze wiedzy ludzkiej jedna tylko hypoteza Kopernikowa o układzie wszechświata i wiążąca się z nią zasada Newtonowa ciążenia powszechnego na pewniejszych jeszcze oparte są podstawach.

Tak więc światło jest drganiem, a raczej objawem drgania tej materji subtelnej, nieujętej, co przestwora wszechświata wypełnia. Ale czemżesz są barwy — te wdzięczne ozdoby przyrody, gońce wiosny, zwiastuny wesela i oznaki młodości? Czy mają one byt własny, samodzielny, czy też są tylko przechodnim objawem innych działaczy? Niestety, znikome są te czarowne zjawiska, powstają tylko wraz ze światłem, tworzą się tam, gdzie światło różne ciała rozjaśnia, giną wraz ze światłem, zmieniają się z rodzajem oświetlenia. Poeta nazywa barwy dziećmi światła, ale są to dzieci bez własnego istnienia, które zgonu rodzica swego przetrwać nie mogą. W ciemności barw nie rozróżniamy, bez światła nie masz barwy, powstaje ona dopiero przez działanie światła na materję ciała. A znane każdemu spostrzeżenie, że przy blasku świecy lub gazu żółte rękawiczki wydają się białemi; czyż nie okazuje, że barwy zależą od światła? Tak samo przy oświetleniu wieczornem ginie dla nas różnica między zielenią a barwą błękitną. A gdy czerwony ogień bengalski rozświetla ogród napełniony licznym tłumem, każda twarz ożywia się wyższym blaskiem, świat zaś roślinny przywdziewa szatę żałobną, a zieleń staje się czarną. a gdy natomiast zielone rozpalą się ognie, wzrasta połysk bujnych trawników, na ponurych zaś twarzach różowe lica i czerwone wargi czarnemi się wydają plamami. A możeście widzieli towarzystwo oświetlone płomieniem palącego się spirytusu, w którym rozpuszczono nieco soli kuchennej i pamiętacie to przerażające wrażenie, jakie sprawia widok twarzy trupiej bladości, od której tem groźniej odbiją czarne wargi i lica.

Te i mnóstwo im podobnych przykładów aż nadto wykazują zależność barwy od światła, ale nauka idzie dalej jeszcze, w miejsce zależności stawia tożsamość, identyczność: barwa to światło. Każda barwa jest pewnym, oddzielnym rodzajem światła, podobnie jak każdy ton jest tylko szczególnym rodzajem dźwięku. Jak ze struny stosownie wzruszonej wyrywa się wysokie ut, tak czerwień wypływa z ciała, oblanego stosownem światłem; ale przy innem oświetleniu barwa ciała się zmieni, podobnie jak przy różnem zadęciu różne tony z rogu wydobywać możemy. (C. d. n.)

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jużeśmy się zabierali do spoczynku, częścią na wozie Żółtowskiego, częścią na deskach stajennych, kiedy raptem otworzono bramę wchodową, i weszło kilka razem osób pod eskortą piechoty. Na czele był tłusty oberżysta z pod Jelenia Gansberger, za nim przyniesiono w dwóch dużych cebrzykach masę sznyclów, rozbratlów i innego mięsiwa porcjami na talerzach poukładanego, w trzecim dymiły się kartofle. W osobnych koszykach chleb, bułki i sztućce żelazne.

Cała ta grupa, zatrzymała się na środku dziedzińca. Gansberger postąpił naprzód parę kroków, a rzuciwszy okiem na wszystkie strony, gdzie były grupy stojące i leżące, które instynktowo zbliżać się zaczynały; włożył rękę prawą za kamizelkę, i jak mowca parlamentu, odezwał się donośnym głosem: „Meine Herren! Dowiedziawszy się o waszym niespodziewanem przybyciu, oceniając wasze niemiłe położenie, postanowiłem osłodzić je tem czem mogę. Jestem oberżystą pod Jeleniem, i spodziewam się, że przez czas waszego pobytu, zechcecie zaszczycać dom mój waszemi względami.“

Nim jeszcze mowę skończył; już służba jego rozdawała przygotowane porcje najbliżej stojącym, którzy ustępując nowym robili miejsce. Od nikogo nie upominał się o zapłatę; wielu też zjadło i zapomniało o tym ostatnim akcie biesiady oberżowej. Największa zaś część płaciła; Gansberger brał pieniądze, tylko na nieszczęście nie miał drobnej zdawkowej monety. Kilkanaście butelek wina, które tylko tym w rękę się dostały, co naprzód składali pieniądze, uzupełniły niespodziewany festyn. Poczem prosiliśmy oberżystę, żeby się rano do nas pofatygował, dla ułożenia listy tych, co się u niego stołować chcieli.

Po tej miłej niespodziance, nastąpił wkrótce ogólny sen, przerywany tylko od czasu do czasu parskaniem kilkunastu koni, i wołaniem co kwandrans łańcucha otaczającego gęsto wart: „Halt! Wer da; Patrol vorbei!“

Zrana wszyscy byli na nogach, odświeżając przy studni znajdującej się w dziedzińcu

toalety. Gansberger wierny obietnicy zjawił się z kelnerem, zapisującym na arkuszu nazwiska osób i ich całodzienne żądania. Tym razem dla ułatwienia manipulacji, z góry sobie zapłacić kazał. Ponieważ Jeleń bardzo blisko był naszego budynku, więc bardzo prędko zjawiła się kawa i mleko w ogromnych dzbankach z akompanjamentem ciepłych bułek.

O samej 9ej przyszedł poczciwy Generał, z pułkownikiem huzarów ks. Lichtensteinem i kilku oficerami i tłustym feldweblem, który trzymał w ręku papiery i ołówek.

Przywitawszy się ze znajomymi, prosił żebyśmy się zajęli ustawieniem w szeregi naszych kolegów, co gdy się stało, przystąpił kapitan Lgocki z pułku Fürstenwerter z Feldweblem do przeczytania listy imiennej. Wielu się nie odzywało wcale, a jak się lista skończyła, pokazało się, że pozostała trzecia część prawie bezimiennych.

Rozśmiał się na zameldowanie mu przez kapitana tej okoliczności stary Generał i odezwał się z łagodnością po francusku: „Comme je vous dis Messieurs, je vois, que beaucoup de entre vous, ont oubliés leur noms, c'est qui arive souvent, dans des pareilles occasions; je vous prie donc de vous inscrire, une seconde fois, et de biens vous rappeler à l'avenir, vos noms et prenoms.“ Dodał też, że jest wolą najjaśniejszego pana, wypłacać internowanym z powodu kwarantanny oficerom i szeregowym co 5 dni żołdu. To jest sztabsoficerom po 4 fl. c. m. oficerom do kapitana po 2 fl. 10 kr. a podoficerom i szeregowym po 50 kr. c. m. Co natychmiast po zweryfikowaniu listy imiennej nastąpi.

Generał i przybyli z nim oficerowie ciągle przez ten czas z nami rozmawiali; ale nie można się było od nich dowiedzieć, kiedy nam wolno będzie te mury opuścić, i jakie ma być nasze przeznaczenie.

W pół godziny lista imienna zweryfikowaną została; zameldował to Generałowi kapitan; po czem dawszy rozkaz wypłacania 5 dniowego żołdu, pożegnał nas uprzejmie poczciwy staruszek, i zaraz z całą świtą opuścił koszary. Zaczęła się wypłata. Oficerowie i ci co się za takich wydawali brali po talarze i pół cwancygiera, który to ostatni wpadał zręcznie w czako obok stojące tłustego zapoconego feldwebla, ku wielkiemu jego ukontentowaniu. Że to był styryjczyk rodem, trudno mu było wymawiać niektóre polskie nazwiska, przekręcał je jak najpociesznej; śmiech powszechny powstawał w szeregach, który on sam serdecznie dzielił; najgorszy dla niego do wymówienia był kapitan Peretetiatkowicz, którego wymawiać do końca się nauczyć nie mógł, śmiejąc się już naprzód z efektu jaki nowe przekręcenie nazwiska, na publiczności robi. Kapitan Lgocki, syn obywatela z Wadowickiego, młody wykształcony i miły w towarzystwie człowiek, po kilka razy na dzień przychodził do nas na gawędę wraz z kilku oficerami od huzarów, z których hr. Waldstein, nadzwyczajnie dobry kolega, nie opuszczał nas prawie, o ile mu tylko czas wolny od służby pozwalał.

Za pośrednictwem ich dowiedzieliśmy się, że korpus Rożyckiego, któremu się zdawało, że koło Pinczowa nad płytką Nidą zajmie obronne stanowisko, co się nie udało—widząc, że go Krasowski od Wisły i Krakowa odcina, rzucił się na prawo ku granicy pruskiej, i pod Bóbrkami, party ciągle przez Ridigera, przeszedł wpław Wisłę, a złożywszy broń w ręce komendy austryjackiej w Zatorze, internowany został; że Moskale zajęli Kraków, że wysłali dywizjon ułanów petersburskich z baterją artylerji konnej kozackiej, w awangardzie, która kłusem przeleciawszy plutonami przez miasto, i rozbiwszy po drodze biegnącego Jurcia Lubomirskiego, dotarła do mostu; artylerja odprzodkowała działa wymierzone na most i Podgórze, ułany za nią jako asekuracja w szyku bojowym stanęli, a mając z sobą pułkową muzykę, po kilka razy na dzień przygrywali ulubione rewolucyjne piosneczki.

Generał Fichtel, który już poprzednio kazał wysunąć na bok 2 mostowe dzielnice, dał rozkaz, ażeby pół baterji jakie miał pod swojem dowództwem podjechała na brzeg Wisły, odprzodkowała wymierzywszy swoje działa do dział moskiewskich. Przez kilka dni, stały armaty na przeciw siebie z zapalonemi lontami, póki nowo nadeszłe rozkazy nie odwołały tej niepotrzebnej parady. (C. d. n.)

W ZIMIE.

...Wichr styczniowy jęczy i szaleje,
W koło śnieżne zaległy zamiecie,
Niebo groźne, posępne i czarne;

Biały całun na drzewach się chwieje,
O jak pusto, jak zimno na świecie!
O nadziejo! — szczęście... jakżeś marne!

...Słaby płomień na kominku błyska,
A myśl blada, jak duch przez cmentarze
Zwolna skrzydły przepływa cichemi —

Nad samotne swych wspomnień zwaliska,
Nad zburzone swej wiary ołtarze,
I przybita — upada ku ziemi.

I wraz z ziemią, w całun się okrywa,
I wraz z ziemią, wycia wichrów słucha
W otchłań niebios wpatruje się czarną —

A z mej piersi łzawy szept się zrywa:
O dolino życia! — jakżeś głucha!
O miłości... sławo... jakżeś marną!

Dnia 31. Stycznia 1875 r. *Marja B.*

MAZUREK.

Czem się mierzy wiek młodości?
Wiek młodości istny wianek —
Sumą woni i miłości,
Sumą kwiatów i kochanek!

Młodość, miłość, wiosna, róże,
Jedna rzecz, choć różne brzmienia;
Wiosnę przeplatają burze,
Miłość — nieporozumienia!

Znikły chmury, znów pogoda,
Orzeźwiony świat pięknieje,
Spór skończony, para młoda,
Raźniej ściska się i śmieje!

Róże nie wciąż się rumienią,
Życia nie równać z wiecznością,
Róże więdną wraz z jesienią,
Miłość umiera z młodością!

Dnia 5. Lutego 1875 r. *J. S. Chamiec.*

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ
JANA LAMA.

Rozdział III.

(Ciąg dalszy.)

Pan Tadeusz Zamecki wyraził się trafnie, gdy mówił, że „kocha się“ w pannie Helenie Podwalskiej, nie zaś, że ją kocha. Jest wielka różnica między kochaniem kogoś, a kochaniem się w kimś — różnica ta leży atoli więcej w pobudkach, niż w ich ostatecznym skutku. Kto kocha, jest ślepym, kto się kocha, nie bywa nim, ale z pełnym namysłem zamyka oczy i nie chce patrzyć na to, co może razić jego uczucie. Pierwszy rodzaj miłości zdarza się rzadko w późniejszym wieku, drugi natomiast tem silniej zdolnym jest opanować człowieka, im bardziej wiek, doświadczenie i zimny sąd o rzeczach zabezpieczają jego serce od owej miłości pełnej słodkich złudzeń i gorzkich zawodów, która trapi młode nasze lata. W rezultacie, przedmiot, w którym widzimy wady, którego wartości bynajmniej nie przeceniamy, ale który ma dla nas powab niezwalczony, w którym kochamy się, bywa nam równie drogim jak ten, który otoczyliśmy kwiatami marzeń i wynieśli między gwiazdy, wysoko ponad wszelkie ułomności ziemskie. Czuję niestety, że poruszyłem tu z konieczności temat, mocno przestarzały, i że będę niezrozumiałym dla wielu czytelników. Nie każdy zna się na antykach, a od czasu jak ludzie przestali kochać się namiętnie, nie każdy zastanawia się nad rozmaitemi rodzajami kochania. Natomiast każdy lubi coś—i z tego powodu, dla lepszego wyjaśnienia uczuć p. Zameckiego, pozwolę sobie wziąć porównanie z pierwszego lepszego lubownictwa. Oto np. młodzieniec, wbrew wyższym aspiracjom swoim przykuty do ławek szkolnych, marzy o rumaku, jako o pojęciu czysto abstrakcyjnem. Jest to dla niego latawiec, z którym nic porównać się nie da, ognisty, szybkonogi, a posłuszny zarówno ostrogom jak wędzidłu. Dojrzały sportsman natomiast wie, że najpiękniejszy *thorough-bred* w jego stajni ma swoje wady i narowy, i że wynaleziono wiele wygodniejszych i szybszych sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce, od konnej jazdy — mimo to jednak, odstąpiłby chętniej komukolwiek żony, albo wierzycielom miejsca w tabuli, niż ulubionego wierzchowca wraz z jego jawnemi lub ukrytemi niedoskonałościami.

Widzieliśmy, że panna Helena Podwalska miała niektóre niedoskonałości, i że p. Zamecki dostrzegał ich dosyć dokładnie. Największa z nich wszelako, najbardziej skłaniała go do wzięcia jej za żonę. Panna Helena nie kochała nikogo i nie była zdolną kochać, to dawało p. Tadeuszowi rękojmię, że będzie nosiła jego nazwisko nie czyniąc mu ujmy, zwłaszcza gdy tak wysoko ceniła pozory. Więcej nie wymagał od niej, i powiedział jej to otwarcie. Oburzyła się i zapewniała go, że go kocha, nie siląc się przytem wcale na wybuchy uczuciowe, ale tłumacząc mu racjonalnie, że jak każda kobieta, lgnie do wyższości moralnej i intelektualnej, jaką w nim poznała. P. Tadeusz wierzył i nie wierzył temu; wierzył, bo było mu przyjemnie wierzyć, nie wierzył, bo zdawało mu się, że oprócz owego uznania wyższości, potrzeba innych jeszcze warunków, wśród których miłość powstać może. Bądź co bądź, oświadczył się Helenie i prosił o jej rękę w wyrazach gorących, pełnych szczerego uczucia, i był szczęśliwym, gdy

w odpowiedzi na to, bez wszelkiej pruderji oparła głowę na jego ramieniu, mieniąc się uradowaną, wdzięczną, dumną z jego wyboru. Gdy wspominał o swoim wieku, odparła, że jest tylko o dwanaście lat młodszą od niego, jednem słowem, postępowała z nim otwarcie, bez kokieterji, bez zwykłych oklepanych sztuczek panieńskich, co go niezmiernie cieszyło. Nie było mowy o zezwoleniu matki — panna Helena była pełnoletnią i powiedziała to stanowczo pani Podwalskiej na parę godzin przed deklaracją p. Tadeusza, odmawiając oraz kategorycznie swojej interwencji w sprawie owych dwudziestu tysięcy, których ksiądz Stodolski potrzebował na budowę kaplicy dla przytuliska OO. zgromadzenia apostolskiego św. Jakóba z Kompostelli. Umówiono się, że ślub ma nastąpić jak najprędzej, przed tem atoli p. Tadeusz, jak mówił, uważał za swój obowiązek wyznać przyszłej swojej żonie, że ma — wychowankę, której zapewnił dość znaczny posag i do której bardzo jest przywiązanym. Panna Helena nie czuła potrzeby ukrywać wrażenia, jakie wywarło na niej to wyznanie p. Tadeusza — wszak mógł przypisać jej pomieszanie różnym przypuszczeniom co do pobudek jego nadzwyczajnego przywiązania do tej wychowanki. Odparła mu szybko, że przeszłość nie powinna rzucać cienia na przyszłe ich szczęście, ani być przyczyną niezgody — zwłaszcza gdy i ona ma sobie niejedno do wyrzucenia, a nawet, co do jednego punktu, winna mu równie otwarte wyznanie. P. Tadeuszowi uderzyło serce żywiej na te słowa, przez chwilę spodziewał się, że tajemnica, której wzajemne wyjawienie odkładał na lata, przestanie już teraz istnieć między nim a Heleną. Póki ona sama chciała ukrywać ją, póki czuł, jak bolesnem byłoby dla niej, gdyby wiedziała, że nic mu nie jest tajnem, póty był zdecydowanym, oszczędzać jej fałszywą ambicję i z wszelką delikatnością uwzględniać pobudki, dla których milczała. Gdyby jednak chciała po wiedzieć mu, co już wiedział, czułby się był nierównie szczęśliwszym — szczerość taka z jej strony byłaby ją stawiała nierównie wyżej w jego oczach. Niestety, Helena nie miała do wyznania mu nic więcej, oprócz tego, że ma długi, uciążliwe, wekslowe długi. Po pierwszem niemiłem rozczarowaniu, p. Tadeusz zapytał z uśmiechem, jak wysoką jest cyfra tego niezbyt pożądanego posagu. Dwadzieścia tysięcy. — Nie wielkie nieszczęście, zauważył p. Zamecki, zwłaszcza, że można ułożyć się z żydami.—Bez zająknienia się, panna Podwalska odparła, że weksle nie są w rękach żydowskich, albowiem p. Alfred poręczywszy za nią i za jej matkę, zmuszonym był zapłacić większą część pieniędzy, i nawet dość nieszlachetnie na tej podstawie rości sobie prawa, których mu jej serce od dawna odmawia, jakkolwiek — przyznawała to, dawniej, ale już dawno bardzo, nie była obojętną dla niego. Byłoby to niemałem zadośćuczynieniem dla jej miłości własnej, gdyby mogła zwrócić mu pieniądze własnoręcznie i dać mu odprawę na wieki, wraz z tem upokorzeniem. P. Tadeusz nie miał nic przeciw temu, dziwił się tylko, zkąd p. Alfred mógł kiedykolwiek mieć tyle pieniędzy, znał bowiem jego interesa doskonale, zwłaszcza, że Kruchówka graniczyła o miedzę z jego dobrami. I na to znalazła się odpowiedź — weksle były w ręku dorobkiewicza podolskiego, znanego z podwójnej skłonności do lichewki i do szulerki i dzięki tej okoliczności, za pomocą damy pikowej skombinowanej z *nefką*, przeszły w klubie po dżentelmeńsku w ręce p. Alfreda. Tak więc, inkwizycyjne skłonności pana Tadeusza zostały zaspokojone i panna Helena tego samego wieczora była w posiadaniu dwudziestu tysięcy złr. oprócz zapisu na sto tysięcy, który p. Zamecki zrobił na jej korzyść z tym wyraźnym dodatkiem, że donacja ma być ważną bezwarunkowo, czyli panna Podwalska zostanie jego żoną lub nie.

Helena nie mówiła nieprawdy, gdy opowiadała p. Tadeuszowi, że pragnie dać odprawę Alfredowi. Dała mu ją wraz z pieniądzmi, w wyrazach, których może jeszcze nigdy nie słyszał tak piękny, przystojny, szlachetny, i bogobojny kawaler. Zemściła się na nim srodze za chwilę obawy, której ją nabawił. P. Alfred atoli czuł się tak mile dotkniętym gotówką, którą mu doręczono, że nie miał w wielkiem sercu swojem miejsca na przykre uczucia, i wykonał polecenie Heleny, aby natychmiast wyjeżdżał, z takim pospiechem, że zapomniał nawet wykupić weksel, dany panu Bergerowi. Pani Podwalska płakała nad postanowieniem swojej córki i nad jej nieugiętym uporem, i radziła się księdza Stodolskiego, co począć w tej rozterce uczuć macierzyńskich i religijnych. Ksiądz Zygmunt podjął się wypędzić egzorcyzmami szatana, który opętał serce Heleny brakiem szczodrości dla OO. zgromadzenia apostolskiego. Zagroził jej odmówieniem rozgrzeszenia. Zbłąkana owieczka odparła, że znajdzie się inny ksiądz, który da rozgrzeszenie. Zagroził odmówieniem ślubu. Szatan odrzekł przez jej usta, że jest w mieście protestancka kaplica, w której można wziąć ślub równie skutecznie jak w kościele. Ksiądz Stodolski ujrzał się zniewolonym wystąpić z działami cięższego wagomiaru, nabijanemi smołą i siarką piekielną, ale szatan nie uląkł się żywiołów będących jego zwykłem i ulubionem miejscem pobytu. Nakoniec, troskliwy pasterz dusz nadmienił, że godziłoby się p. Zameckiego, jakkolwiek heretyka i ateistę, wtajemniczyć w niektóre szczegóły życia rodzinnego panny Podwalskiej, nim zostanie jego żoną. Tu szatan zmiękł, ale nie ze wszystkiem. Przyrzekł tylko, że pani Zamecka nie omieszka pamiętać o przytulisku, ani o kaplicy. Ksiądz Zygmunt musiał kontentować się tem przyrzeczeniem, i wyszedł zgorszony, ruszając ramionami; przyjął atoli od pani Podwalskiej pewną ilość gotówki, niezbędnie potrzebną na uproszenie Niebios w dziesięciu mszach przez tyleż czwartków, o oświecenie i zbawienie duszy panny Heleny.

Zresztą, nim jeszcze p. Zamecki wrócił do miasta po rozmowie ze swoją narzeczoną, wieść o jego deklaracji rozeszła się już była z szybkością błyskawicy. W parę godzin otrzymał jeszcze dwa listy bezimienne, donoszące mu poufnie o tem wszystkiem, co rano zbadał naocznie wraz z p. Skryptowiczem. Listy pochodziły od „dobrych przyjaciół“ płci męskiej, pismo ich atoli, styl i pisownia zdradzały pochodzenie od piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Nim słońce drugi raz zaszło, panna Helena otrzymała także list bezimienny, grożący jej pojawieniem się, w dzień ślubu, w kościele, wieśniaczki z małem dziecięciem na ręku. Groźba ta okazała się atoli niewykonalną, raz dla braku dziecięcia, a powtóre, ponieważ ślub odbywał się w kaplicy biskupiej, do której miały wstęp tylko osoby zaproszone. P. Skryptowicz zerwał się z łóżka o siódmej godzinie rano, ażeby być obecnym na tej uroczystości, nie w innym celu, jak tylko dla podziwiania rozpromienionych twarzy pani Trzecieszczakiewiczowej i dwóch innych pobożnych dam, z których każda wystąpiła na czele pół plutonu córek na wydaniu. Panie i panny płakały z rozrzewnienia, gdy biskup błogosławił państwa młodych, a kiedy państwo Zameccy wsiadali za powrotem do nader okazałej, nowiuteńkiej karety, ciągniętej przez parę szpaków ośmnastej miary, i zaopatrzonej dwoma lokajami w pończochach, stojącymi z tyłu, pani Trzecieszczakiewiczowa podarła w kawałki swoją lewą manszetkę i dało się słyszeć żałośne skomlenie Żolcia, któremu pani Wrzeszczyńska, jedna z szczęśliwych matek, nastąpiła na łapkę, jak gdyby to było jego winą, że p. Zamecki ożenił się z panną Podwalską, a nie z panną Wrzeszczyńską, których było sześć do wyboru. Po ślubie zaś i po śniadaniu, z angielska, państwo Zameccy wyjechali za granicę — chociaż p Tadeusz nie lubił podróżować. Pani Helena życzyła sobie tego mocno, i nowożeniec zrobił jej tę koncesję, złożywszy poprzednio w depozycie wcale znaczną sumę pieniędzy w dobrych papierach, jako własność sieroty Heleny Grodeckiej, pupilki p. Skryptowicza.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Dokończenie.)

„Tegoż dnia zwrócił się jednak wiatr i wyparł nas po kilku dniach na otwartsze morze, gdzie mieliśmy już i szersze kanały i tak rozległe pola lodowe, żeśmy po nich sanną znaczniejsze mogli przebywać przestrzenie. Odtąd szła już podróż coraz szybciej, i przekroczywszy d. 15. sierpnia 77° szer. ujrzeliśmy nazajutrz góry Nowej ziemi.

Ponieważ nasze zapasy żywności jeszcze nam na trzy tygodnie wystarczyć mogły, więc aby nie tracić czasu, nie zatrzymałem się w miejscu, gdzieśmy z hr. Wilczkiem zakopali prowianty, lecz płynąłem bez przerwy wzdłuż wybrzeży ku południowi. W dzień urodzin cesarza, 18. sierpnia, wyciągnęliśmy po raz pierwszy łodzie na ląd w pobliżu półwyspu Admiralicji i wypoczywaliśmy całą noc. We cztery dni potem zawinęliśmy do kanału Matoszkin, gdzie spodziewaliśmy się zastać jakiś łowiecki statek norweski, ale nadzieja nasza została zawiedzioną.

W ostatnich czasach mieliśmy powietrze bardzo burzliwe i fale morskie zalewały nasze czółna, tak że musieliśmy z nich nieustannie wyczerpywać wodę. Przetrwawszy straszną noc na rozigranem morzu, opłynęliśmy d. 24. sierpnia przylądek Brytwin i spotkaliśmy u ujścia Puhowej dwa okręty rossyjskie, z których jeden, Mikołaj, przyjął nas na swój pokład. Za cenę 1200 rubli i odstąpienie trzech łodzi naszych zobowiązał się kapitan pomienionego okrętu, Fedor Woronin, odwieść nas do Vardö, dokąd też przybyliśmy szczęśliwie d. 3. września 1874.“

* * *

Podróż powracających członków wyprawy austrjacko-węgierskiej z Vardö do Wiednia była istnym pochodem tryumfalnym. „Od czasów Kolumba i Vasca de Gamy — uważa słusznie Petermann — jeszcze żaden, powracający z najgłośniejszej nawet wyprawy podróżnik, nie był witany z tak powszechnem uniesieniem. Owszem nawet przyjęcie, jakiego doznali obaj tamci odkrywcy nowych światów w rodzinnych portach

swoich nie może iść w porównanie z tym szeregiem owacyj i zaszczytów bez końca, któremi ścieliła się podróżnikom austrjackim cała droga od północnych kresów Europy aż do Wiednia".

Już w Vardö, skoro tylko doniesiono o przybyciu tamże wyprawy, powitał cesarz Franciszek Józef jej dowódzców telegramem, wyrażającym uznanie za ich poświęcenie i zasługi. Wkrótce potem zawinął do portu Vardö parowiec Finmarken, który zabrał podróżników na swój pokład, aby ich na Hamerfest i Tromsö zawieść do Hamburga. Cała droga wzdłuż wybrzeży Norwegji była dla nich nieprzerwanym szeregiem najmilszych niespodzianek. Wszystkie miasta portowe były przystrojone chorągwiami, a mieszkańcy wychodzili tłumnie na spotkanie podróżników i witali ich radośnemi okrzykami. Król szwedzki Oskard II. przysłał Payerowi zaproszenie do Stockholmu, aby z własnych ust jego wywiedzieć się o szczegółach podróży i osiągniętych przez nią rezultatach. Hr. Wilczek i hr. Zichy wyjechali naprzeciw powracających do Kuxhaven, a miasto Hamburg wysłało po nich parowiec aż do ujścia Elby. Wszystkie domy nad brzegami Elby, nie wyłączając ubogich chat rybackich, były oświetlone, a port Hamburski, do którego d. 22. września zawinęli, był świetnie iluminowany. W Hamburgu powitało ich wiele znakomitości, które umyślnie w tym celu tam przybyły. Nazajutrz odbyło tamtejsze Towarzystwo geograficzne nadzwyczajne posiedzenie dla wysłuchania sprawozdań obu naczelników wyprawy. Po drodze przez Prusy spotykały ich manifestacje na wszystkich główniejszych stacjach, które im towarzyszyły aż do granic Austrji. W Boguminie, gdzie d. 25. września stanęli, czekała na nich deputacja z Wiednia i hr. Wilczek wręczył obu dowódzcom w imieniu cesarza ordery Leopolda. Im bardziej zbliżali się do Wiednia, z tem większym witano ich entuzjazmem, a przyjęcie w samej stolicy przeszło wszelkie oczekiwania. Deputacja ministerstwa wojny i dwudziestu sztabowych oficerów garnizonu wiedeńskiego, rada miejska z burmistrzem na czele, przedstawiciele akademji nauk i towarzystwa geograficznego zebrali się na dworcu kolei północnej, przystrojonym w wieńce, chorągwie i herby, a oblężonym przez tłumy ludności. Za nadejściem pociągu rozległy się okrzyki, zagrzmiała muzyka i nastąpiła owacja, jakiej od dawna nie pamiętano. Ulice, prowadzące do miasta, przystrojone były jakby na przyjazd panujących i takie zalegały je tłumy, że orszak tylko z trudnością i bardzo powoli mógł się posuwać. Oficerom wyprawy dano honorowe mieszkania u członków rady municypalnej. Nazajutrz wszyscy ministrowie przedlitawscy zrobili wizyty Payerowi i Weyprechtowi, a rada miasta Wiednia podjęła chwalebną myśl zebrania funduszu narodowego na rzecz wszystkich uczestników wyprawy, aby im zapewnić życie dostatnie i starość spokojną.

I za cóż ten grad zaszczytów i owacyj? — Za kawałek lodowatego morza i płacheć nowoodkrytej ziemi, zaskorupionej w lodach?!

Wśród mnóstwa przeróżnych artykułów o wyprawie, któremi zasypywały czytelników swoich niemal wszystkie pisma niemieckie, znalazł się istotnie jeden, w dzienniku „Osten", który podobne stawiając sobie pytanie, nazwał entuzjazm, z jakim ludność różnych języków i krajów witała powracających podróżników austrjackich, blagą, i na poparcie swego twierdzenia przytoczył, że niedawno jeden z podróżników amerykańskich (zapewne Halla miał na myśli Osten) większemi zasłużył się odkryciami, a nie robiono tam tyle z tego powodu hałasu.

A jednak mimo twierdzeń surowego krytyka ludność szczerze i słusznie tak, a nie inaczej przyjmowała powracających podróżników austrjackich, bo ten tłum ludności, jak się w podobnych razach prawie zawsze zdarza, odgadł sercem, zdolnem do szlachetnych porywów, nie czekając wyroku uczonych, że wyprawa Tegetthoffa była prawdziwie bohaterskim czynem. I któż na większe od tej garstki mężnych ludzi zasłużył poczczenie? Czy żołnierz, co w szale, często wbrew przekonaniu, mając do wyboru pewną kulę od swoich lub niepewną od wroga, rzuca się w kilkogodzinny odmęt bitwy? — Czy wódz co wyprawiwszy hekatomby z ludzi, krwawe odnosi zwycięstwo? Bohaterowie Tegetthoffa szli dobrowolnie, z zimną rozwagą i przeświadczeniem w zapasy ze śmiercią, którą tylu już przed nimi przepłaciło swoją odwagę; walka ich z najstraszniejszymi wrogami, z burzami i z rozhukanem morzem, z górami lodowemi i z zimnem zabijającem, trwała dwa lata, a zwycięstwo kosztowało życie jednego tylko człowieka!

Z tłumem uniesionej entuzjazmem ludności uchylili przed nimi czoła i najkompetentniejsi w tej kwestji sędziowie. „Nie zdaje mi się — pisze Vivien de Saint-Martin*) — żeby sprawozdanie z którejkolwiek z podróży polarnych mogło dać bardziej przejmujący i zupełniejszy obraz niebezpieczeństw i udręczeń tych hazardownych wypraw, nad ten, jaki nam przedstawia relacja podróżników austrjackich. W żadnej też z ekspedycyj polarnych nie widzimy spotęgowanych do tego stopnia stanowczości, odwagi, zimnej krwi, wytrwałości i dzielności fizycznej i moralnej, niezbędnych ludziom których tylko miłość nauki może zapalić do takich przedsięwzięć". Z niemniejszem uwielbieniem wyraża się o podróżnikach austrjackich Petermann**): „Nie można nic większego w tym względzie dokazać nad to, czego dokazała ekspedycja austrjacka! W czemże polega wielkość czynu Kolumba, Vasca de Gamy lub Magalhaensa? W tem, że pierwsi pozbywszy się uprzedzeń, a gnani szlachetną żądzą wiedzy, mieli odwagę zapuścić się na nieznane morza. Że austrjacka ekspedycja nie odkryła drugiej Ameryki lub drugich Indyj, to nie jej wina; mówiąc po ludzku, ani Kolumb, ani żaden inny z wielkich odkrywców, nie mógłby w tamtych stronach nic większego dokonać, nad to, czego dokonali Payer i Weyprecht".

Ale wyprawa Tegetthoffa odznacza się nietylko bohaterstwem swoich dowodzców i uczestników. Rezultaty naukowe, jakie przyniosła w zdobyczy, jednają jej również jedno z najpierwszych miejsc w historji podróży i odkryć w świecie arktycznym.

Dopokąd zebrane przez ekspedycję austrjacką spostrzeżenia nie zostaną ogłoszone, niepodobna oczywiście zapuszczać się w szczegółowe ocenienie jej rezultatów naukowych. Ale już z ogólnikowych relacyj jej dowódzców, rzuciwszy okiem na mapę arktycznego świata, można powziąć przekonanie, że wyprawa ta nie była bynajmniej tylko brawurą śmiałych turystów, lecz że nauka po niej obfitego spodziewać się ma plonu. „Rezultaty ekspedycji są wielkiej wagi naukowej — powiada krótko Weyprecht — a to dla tego głównie, że pochodzą z krainy świata arktycznego, dotąd zupełnie nieznanej, i ponieważ obserwacje były robione na miejscu bardzo odległem od wszystkich dotychczasowych stacyj na oceanie arktycznym".

To lakoniczne doniesienie Weyprechta podnosi istotnie najważniejszą zasługę wyprawy.

Jeden z pierwszych pisarzy o strefie polarnej, Scoresby, w sławnem swojem dziele, w r. 1820 wydanem, pociągnął kreskę w poprzek przez ocean arktyczny, od wyspy Niedźwiedziej, a więc mniej więcej pod $74^1/_2{}^0$ płn. szer. do Nowej ziemi i zawyrokował, że tu zaczyna się granica wieczystych lodów, a kończy żegluga. Odtąd przez pół wieku z górą pozostawała ta granica nienaruszoną, a zamknięty nią obszar nieznanym. Dopiero ekspedycja austrjacka przekroczyła ją i zdarła zasłonę z kryjących się poza nią krain aż po 83^0 płn. szer. a więc posunęła się o 8^0 wyżej ku północy, niż którykolwiek statek przed nią w tej stronie przedrzeć się zdołał. Jeżeli zważymy jak powoli, stopień po stopniu, owszem minuta po minucie, rozszerzały się granice znanego nam dzisiaj arktycznego świata, ile wypraw kosztował nieraz krok jeden, to przyznać musimy, że rozszerzenie tych granic przez ekspedycję austrjacką odrazu o 8^0 jest wypadkiem bezprzykładnym i może zaprawdę stanowić epokę w historji podróży i odkryć w świecie arktycznym. Niedosyć na tem. Podróżnicy austrjaccy odkrywają jeszcze pod tak wysoką szerokością rozległy archipelag, którego istnienia w tej stronie nikt nie przewidywał, a który wprowadza kwestję polarna w nową fazę jej rozwoju.

Ale gdyby nawet los, zaiste dziwnie sprzyjający podróżnikom austrjackim, nie był im pozwolił zrobić tak rzadkiego w historji podróży arktycznych odkrycia, to już sama ich pomimowolna żegluga ku północy na uwięzłym między krami lodowemi Tegetthoffie, dowodząca potężnego działania prądu golfowego w tak odległej stronie, i dwuletnie zimowanie pod tak wysoką szerokością geogr. wzbogaciłyby nieocenionym skarbem spostrzeżeń geografję fizyczną.

Ekspedycja austrjacka wykazała niezbicie istnienie prądu golfowego powyżej północnych wybrzeży Nowej ziemi, dokonała pomiaru głębokości morza i badania jego dna na przestrzeni 15^0 długości, naostatek obdarzyła nas zbieranemi przez lat dwa spostrzeżeniami meteorologicznemi i magnetycznemi pod tak wysoką szer. geogr. i to w najmniej znanej centralnej części świata arktycznego, z jakiej nie posiadamy jeszcze tak długich i rozległych obserwacyj. Podróżnicy austrjaccy zapełnili więc lukę, która najbardziej dawała się uczuć meteorologom i geografom i podali klucz do rozwiązania najciekawszych problematów geograficznych arktycznego świata.

Zachwianą już dawno hipotezę Kanego i Hayesa o otwartem morzu polarnem, odkrycie ekspedycji austrjackiej obaliło stanowczo. Teraz zachodzi już tylko pytanie, czy biegun północny nie leży pośród rozległego kontynentu, albo przynajmniej archipelagu polarnego, a odkrycie kraju cesarza Franciszka Józefa, zestawione z odkryciem ziemi Gillisa, kraju Wrangla i krańców jakichś lądów na północy jeziora Lincolna, zdaje się niewątpliwą na to pytanie dawać odpowiedź.

Stanowczy wyrok w tej kwestji jest jednak jeszcze przedwczesny.

*) *Le tour du monde.* 1874. str. 424.

**) Dr. Petermann. *Mittheilungen* 1874. str. 341.

Ekspedycja austrjacka, zbliżając znacznie jej rozwiązanie, wywołała nowy zapał do podróży arktycznych. Z Anglji, Francji, Szwecji i Ameryki donoszą o organizujących się nowych wyprawach, a i obaj podróżnicy austrjaccy, noszą się z planem trzeciej podróży na ocean arktyczny. W roku bieżącym wyruszy więc znowu cały zastęp wypraw na wody arktyczne, a podróżnicy austrjaccy mogą się szczycić, że ich odkrycia zachęcając do ponownych w tym kierunku wysileń, sprowadzą może w niedalekiej przyszłości ostateczne rozwiązanie kwestji polarnej.

POGADANKI.

X.

Kto pragnął podnieść w sobie ducha słusznej dumy z tego, że jest Polakiem, powinien był w lutym zrobić wycieczkę do Wiednia i wracać przez Kraków, ale broń Boże nie zajmować się polityką, ani sprawami gospodarstwa narodowego, tylko sztuką. Trudne to zadanie wobec gorączki, wywołanej procesem Ofenheima, ale na szczęście i ta sprawa zdolną była wywołać uwagi, pod względem społecznym korzystne dla naszego kraju. Porównanie mianowicie między zepsuciem opinji publicznej w stolicy państwa rakuskiego, a zdrowszym stosunkowo jej stanem u nas, wypada nie źle. Tam prasa, w dziewięciu dziesiątych częściach kupiona, bijąca w twarz prawdę i uczucie uczciwości — u nas, zaledwie jedno piśmidło, nieśmiało broniące wyzyskiwaczy zaufania i grosza publicznego, a teraz dopiero podnoszące głowę, gdy sprzymierzeńcy jego wiedeńscy odnieśli nieświetny i drogo okupiony tryumf. Wprawdzie i jedna taka trędowata owieczka niemałą jest zakałą dla ogółu, ale jest nieco pociechy w tem, że gdzieindziej jeszcze gorzej się dzieje, a już wielką bardzo pociechą jest uznanie, jakie znajdują za granicą artyści nasi. Uwzględnić zwłaszcza należy, że malarstwo polskie przedstawione jest na wystawie w wiedeńskiem „Schönbrunnerhaus“ w jednej tylko cząstce swojej, i że przeto nie wystąpiliśmy z całem bogactwem, jakie posiadamy. P. Grasberger w „Pressie“ powiada, że jak mamy literaturę „emigracyjną,“ tak i wystawę zbiorową malarzy polskich w Wiedniu możnaby nazwać emigracyjną, obejmuje ona bowiem oprócz trzech utworów Matejki i dwóch Kotsisa, trzydzieści trzy obrazów nadesłanych przez kolonję polską z Monachjum. Osiadły niedawno w tem mieście Leopolski nie nadesłał nic do Wiednia, natomiast widziałem w Krakowie na nieustającej wystawie w pałacu biskupim jego krajobraz, który wydał mi się śmiałym kolorystycznym eksperymentem.

O wystawie wiedeńskiej przytoczę tutaj parę wyjątków z krytyk niemieckich, szczególnie bowiem to będzie zajmującem dla czytelników, co o nas piszą cudzoziemcy:

„Po dźwignięciu się pośmiertnem Polski w dziedzinie literatury, które znalazło uznanie nawet ze strony Goethego, i jego wielkich myśli o piśmiennictwie mającem znaczenie światowe, nastąpiło podobne dźwignięcie się na polu sztuki, dowodzące podobnie jak tamto, że pojęcia państwa, narodowości i kultury niekoniecznie schodzą się w jednym punkcie, ani są zawisłemi jedno od drugiego, ale owszem, że rozwój zwłaszcza sztuk pięknych nieraz porusza się torami odmiennemi od tych, które stanowią wyżynę potęgi politycznej. Charakter najnowszego rozwoju literatury polskiej był przeważnie romantycznym, dążenia Polaków w dziedzinie sztuki mają natomiast głównie cechę historyczną. Między Mickiewiczem, głową romantyków polskich, a Matejką, przywódzcą malarzy polskich, stoi historyk — Lelewel. Artur Grottger ulegał o wiele więcej wpływowi romantyków, niż Matejko, i różni się nadto od tego ostatniego, stanowczo lirycznem usposobieniem swojem. Ołówek jego reprezentował pieśń polską, rysunki jego czyniły wrażenie retorycznym patosem zarówno jak elegijnym tonem. Na mocy wrażliwego swojego usposobienia porwany być musiał w wir ostatnich ruchów narodowych, podczas gdy Matejko, o ile nam wiadomo, odwracał zawsze spokojny wzrok swój od ponurej i krwawej skali lat 1830—48—62—64. Matejko jest historykiem, a malarstwo historyczne jest zawsze mniej więcej retrospektywnem....“

„Dziwne zrządzenie losu — mówi dalej ten sam krytyk — w moc którego naród objawiać poczyna zmysł historyczny i rozumienie dziejów w piśmiennictwie i sztuce, w chwili, gdy od dawna nie bez własnej jego winy odjętą mu jest moc i sposobność, r o b i e n i a historji!“

O ogólnem wrażeniu wystawy wiedeńskiej mówi p. Grasberger:

„Polacy malują historję, epizody wojenne, pejzaże, sceny wiejskie, widoki targów, a tu i owdzie zawadzają także o rodzaj wesoły i o obraz tendencyjny. Nie mają nic (?) podobnego do naszych (niemieckich) obrazów „obyczajowych“ i „chłopskich.“ Tego, co nazywamy „Gemüth,“ równie jak humoru, mało jest w ich utworach, natomiast objawia się tu i owdzie coś spokrewnionego z francuskim „*ésprit*.“ Z szczególnem upodobaniem zajmują się jeźdźcami i końmi. Widoki równin umieją przewiać tajemniczem tchnieniem bajek, legend i marzeń. Przeważa nastrój elegijny, nocny. Talent kolorystyczny i eksperymentowanie spotykać można na każdym kroku. W sposobie przedstawienia wielu trzyma się wzorów francuskich.“

Nie będę tu zestawiał rozmaitych głosów o „Dzwonie Zygmuntowskim“ Matejki, bo musiałbym parę numerów „Tygodnia“ zapełnić tym przedmiotem. Niezadługo pojawią się zresztą zapewne i polskie krytyki tego obrazu. Nie od rzeczy będzie atoli wspomnieć, że poglądy niemieckich pisarzy bywają nieraz szerszemi i mniej drobiazgowemi, niż to, co daje się czytać w pismach polskich. I tak pisze między innymi E. Ranzoni:

„Matejko występuje i tym razem w pełni swojej siły, tylko przedmiot, który sobie obrał, nie tyle odpowiada indywidualnemu jego kierunkowi i specjalnemu uzdolnieniu, jak owe dawniejsze sceny o wielkiem tle historycznem, których osoby działające poruszane były najgwałtowniejszemi uczuciami. Było tam zadaniem mistrza, przedstawić nam w jak najrozmaitszem indywidualizowaniu namiętne patos, którem przejęty był każdy uczestnik. Zaledwie pohamowany duch zemsty, mozolnie ukrywana zawiść, zuchwale grożąca pycha, lęk miotanego wyrzutami sumienia, rozpacz wybuchająca dzikim szałem — oto wzruszenia, którym umiał zawsze nadać trafny wyraz ten niezrównany malarz namiętnie poruszonych ludzi. Postacie jego, w ten sposób ożywione, nietylko minami i giestami zdradzają uczucia, poruszające je w głębi — porywają one nadto widza z ową potęgą, jaką wywiera zawsze na umysłach niestwardniałych zupełnie lub nie przesyconych, widok ludzi przejętych głębokiem uczuciem lub energiczną namiętnością....“

„Kto wobec takich dzieł pełnych niesłychanej potęgi i imponującej wielkości mógł rozprawiać wiele o pstrej wrzawie kolorów, o braku perspektywy itd. ten musiał wydawać się zawistnym, drobiazgowym sędzią, zwracającym za wiele uwagi na szczegóły podrzędne — ujemne strony bowiem rozwiewały się w nic, wobec wielkich zarysów koncepcji, i wobec energji i siły w przedstawieniu ważnych zajść dziejowych, bogatych w rozmaite głębokie motywa duchowe.“

P. Ranzoni ma żal do Matejki, że tym razem obrał sobie przedmiot, mniej godny jego pędzla, ale dodaje:

„A jednak poznać w tem dziele wielkiego mistrza — ta potężna postać majstra Behama z Norymbergi, dającego czeladnikom znak do podniesienia dzwonu, ci robotnicy zajęci pracą wytężającą wszystkie ich muskuły, ta powabna królowa o spojrzeniu marzącem, zwróconem w siebie i jakby w dal niedoścignioną, ta grupa artystów i pojedyncze mocno ucharakteryzowane lub piękne figury w orszaku królewskim, nakoniec tło z zamkiem królewskim i katedrą na Wawelu, malowane z szczególnie delikatnem uczuciem, wszystko to są szczegóły, z których niejeden wystarczyłby, ażeby zapewnić swojemu twórcy pierwsze miejsce między współczesnymi malarzami.“

Z innych artystów polskich, najwięcej pochwał odbierają Brandt, Malecki, Świeszewski, Sidorowicz, Streit, Gierymski i Chełmoński. O lwowianinie Sidorowiczu wyraża się krytyk, że w dwóch jego obrazkach (krajobraz wieczorny i nocny) widać pęzel dokładny i prawie, jakby po kobiecemu, nieśmiały, ale że pejzaże jego przejęte są łagodnem, poetycznem tchnieniem, a zwłaszcza nocny krajobraz pod względem delikatnego uczucia i miękkości staje na równi z utworami holenderskich mistrzów.

Sale „Schönbrunnerhausu“ ciasne i niewygodne, nie pozwoliły umieścić polskich obrazów osobno, jak je umieszczono w katalogu. Potrzeba błądzić wśród labiryntu krów szwajcarskich, wodospadów górskich, i innych utworów niemieckich, ażeby odszukać płótna naszych artystów. Z niemieckich obrazów najpiękniejszą jest Max'a „Julia Capuletti,“ uśpiona napojem, danym jej przez pustelnika. „Ucieczka króla Frydryka z małżonką z Pragi, po bitwie pod Białą Górą,“ Fabra du Faur, pięknie malowana, nie robi wrażenia. „Wenus nad umierającym Adonisem,“ Lindenschmidta — *für Herren* — dalej Samson, ogromny chłop ostrzyżony jak rekrut, Blocha, — *für Damen*, i trzecie wielkie płótno, pogrzeb Tymoleona w Syrakuzie, Sciuttego, — *für fleissige Schüler*, przedstawia bowiem, jak Grecy i Greczynki wyglądali z tyłu, jeżeli ich było dużo razem i wszyscy w białych płaszczach, nakoniec Roberta Fleury „Rembrandt malujący swoją kochankę w chwili, gdy opuszcza kąpiel,“ i oto mamy szczupłą reprezentację malarstwa niemieckiego, duńskiego, włoskiego i francuskiego. Z wielkiem zadowoleniem narodowej miłości własnej mogłem wśród tego wszystkiego słyszeć, jak różnojęzyczna publiczność wśród pochwał usiłowała wymówić nazwiska malarzy polskich, nie zawsze łatwe do wygłoszenia.

* * *

W powrocie z Wiednia, radziłem każdemu wstąpić do Krakowa, gdzie niestety, w pałacu

*

biskupim nie znalazłem „Wernyhory“ Matejki, mówiono, że jest u fotografa. Natomiast w przedsionku oglądałem kilka prześlicznych rzeźb, których jeszcze nie widzieliśmy we Lwowie. Lipińskiego „Opuszczona“, modelowana z gipsu zasługuje na to, ażeby czemprędzej znalazły się fundusze na wykucie jej w marmurze. Bardzo piękną jest także Trembeckiego „Dziewczyna rzucająca wianuszek“, i Gadomskiego „Dziewczyna wiejska.“ Kurzawa, znany nam ze Lwowa, wystawił dwie rzeźby, świadczące o postępach jego talentu. Jedna przedstawia grupę figlarną: góral zszedł dziewczynę z nienacka i zasłonił jej oczy dłoniami. Wszystkie te rzeźby są sielankami pełnemi ujmującej prostoty i rzewności, i zachwycają pięknością układu równie jak dokładnością rysunku. Trudno pojąć, dlaczego nie znajdą się spekulanci, którzyby nabyli od artystów prawo reprodukowania tych kompozycyj w zmniejszonym formacie, np. z porcelany — każdemu milejby było mieć takie figurki na biurku, niż niejeden koncept francuski albo niemiecki.

Andrzeja Grabowskiego portret prezydenta Dietla jest już na ukończeniu i chwalą go powszechnie. Z rzeczy nowych i godnych widzenia w Krakowie opuściłem niestety jedną z najważniejszych, odnowiony i wyporządzony grobowiec Jagiellonów; wyznaję ze wstydem, że pietyzm mój patrjotyczny nie wytrzymał próby dwudziesto-stopniowego mrozu, zaostrzonego wiatrem północno-wschodnim i perspektywą na przepędzenie nocy w wagonie, ogrzanym tylko na papierze, w rozporządzeniach jeneralnej inspekcji kolei żelaznych. Na wiosnę redakcja „Tygodnia“ urządzi natomiast zbiorową pielgrzymkę na Wawel, w której może i niejeden z szanownych naszych czytelników zechce wziąć udział.

* * *

Paniom przywiozłem z nad Dunaju niezbyt pocieszające wieści. Profesor Billroth miał odczyt popularny, w którym kategorycznie zaprzeczył uzdolnieniu płci pięknej do nauk, a w szczególności, do nauk medycznych. Na domiar złego, Niemki zamiast sykać, biły brawo. Uczony i sławny operator, mówiąc o emancypacji kobiet w ogóle, tj. o ich równouprawnieniu z mężczyznami, wypowiedział mniej więcej te same argumenta, które i mnie już nieraz byłyby naraziły na wydrapanie oczu lub zakłucie szpilkami, gdyby płeć piękna mimo dążeń swoich do emancypacji nie uważała za stosowne utrzymywać jeszcze czas jakiś nietkniętym ów konwencjonalny aksjomat, według którego słodycz i łagodność mają być jej przymiotami. Dr. Billroth mówi, że obecny stosunek kobiet w społeczeństwie jest naturalnym, i zostawia każdemu odpowiedź na pytanie, czy można prawidła przyrody zmienić sztucznie, rozporządzeniami i urządzeniami dowolnie wymyślonemi. O studentkach medycyny w Zurychu i w Bernie wyraża się niedwuznacznie, że dziczeją pod każdym względem i stają się dziwolągami socjalnemi. W ogóle odmawia on kobietom równych zdolności umysłowych z mężczyznami, wskazując, że nietylko możnaby spalić bez najmniejszej szkody dla nauk wszystkie prace kobiece w tej dziedzinie, ale że nawet w kierunkach oddawna przystępnych niewiastom i więcej często przez nie, niźli przez mężczyzn pielęgnowanych, nie wiele one dokazały. To-ż nawet krawiectwo, tkactwo, ba, sztuka kucharska zawdzięczają swój rozwój mężczyznom, — toż religja i poezja, gdzie nie przeszły w bałwochwalstwo lub sentymentalne marzycielstwo, to chyba tam, gdzie kobiety do nich rąk nie przykładały — toż nakoniec, na krocie kobiet rysujących, malujących i gędzących, ani jednej nie ma malarki, rzeźbiarki lub kompozytorki, którąby można postawić na równi z drugorzędnymi nawet malarzami, rzeźbiarzami i kompozytorami. A więc wyrok: do dziecarni, moje panie, do kądzieli, do kuchni (z zastrzeżeniem) lub nakoniec: na kanapę w salonie! I to Szwajcar, syn wolnego kraju i wolnego ludu, wydaje ten dekret tyrański! Kontrasygnuję.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań 1875.)

Całe gruntownie przedstawia Trentowski naukę społeczną Ludwika Królikowskiego. Był on najprzód St-Simonistą, potem Cabetcistą, aż z „Polską Chrystusową“ wystąpił. Nie ma tu żadnego umiejętnego systemu, bo jej autor w ogóle jest nieprzyjacielem każdej systematycznej umiejętności. Jego zdaniem Chrystus był demokratą i najznamienitszym socjalistą. Zrobiono z niego zakonodawcę zbawienia pośmiertnego dla każdego, kto weń uwierzył i ochrzczonym został; gdy on tymczasem opowiadał ewangelję ubogim i uciśnionym i nauczał królestwa bożego na ziemi. Krzyżowana Polska ma socjalnie pojąć socjalną naukę Chrystusową i zbawić przez nią ludzkość. Ztąd nazwa „Polska Chrystusowa“. Królikowski nie ma żadnej religji, ale ma wiarę w Chrystusa, jako wielkiego socjalistę i umiłował gorąco jego naukę, tłumacząc ją po swojemu. Człowiek rodzi się i umiera, jak każdy zwierz, ale ludzkość jest nieśmiertelna. Religja, to połączenie ludzi między sobą w królestwo Boże. Kościół to społeczeństwo Kościoła Chrystusowego. Dotąd go nie było, Polska Chrystusowa dopiero go objawi. Królestwo Boże to powszechne braterstwo na ziemi. Światłość wiekuista temu, nie jakiemuś tamtemu światu przyświeca. Chrystus nie przyszedł po to, aby łowił duszyczki, ale aby podniósł ludzkość całą. Kto się z niej wyosabnia, ten potępieniec. Poświęcenie dla bliźniego i dla ludzkości najwyższą jest społeczną cnotą. Święci pańscy, to ludzie miłością braterską powiązani. Obcowanie świętych sprawuje komunję. Ona jest niebiańską komunizmu matką. Bracia w Chrystusie są działkami bożemi i dziedzicami królestwa bożego. Ciało i dusza rozdzielić się od siebie nie dadzą. Nie może więc człowiek należeć do ziemi, a duszą uciekać do nieba. Modlitwa, to nie mruczenie czczych słów pod nosem, ale jest „modła“ czyli kształtowanie się. „Modlić się, jest to wzorować się na obraz i podobieństwo Boże“, pracować całe życie około uiszczenia królestwa Bożego na ziemi.

Tym sposobem zrozumieć dopiero potrafimy naukę uspołecznienia Królikowskiego. Jednostronność zapatrywania się jego na pismo święte nowego zakonu widoczna. Ono napisane w duchu religijnym, a tu je tłumaczymy w duchu socjalnym. Religja pomaga do uspołecznienia ludzkości, ale wychodzi z Boga, nie z ludzi. Pismo święte nie może pominąć Boga, jak go pomija autor „Polski Chrystusowej.“

Przeciwstawem tego dzieła jest „Ojcze nasz“ Augusta Cieszkowskiego. Jest to spekulacyjna socjalistyka, oparta na modlitwie powszechnej. Wiadomo że krom wstępu kilkuwyrazowego, zawiera siedm próśb. Słowa same tych próśb są zebrane z pisma Św. Cieszkowski zwraca pierwszy uwagę na ich socjalistyczne znaczenie, na to, co dopiero nastąpić ma jako dopełnienie wieków. Utrzymuje ztąd, że dotąd znaczenia modlitwy Pańskiej nie rozumiano, bo ludzkość chrześcijańska teraz dopiero się upełnoletnia i zdolna pojąć owe niebiańskie rzeczy, których Chrystus nauczał, i o których przyjście Ojca w niebiesiech błagać nakazał.

Co mamy przed sobą jest dopiero wstęp do samego dzieła. Żadna z próśb nie została rozwinięta dotąd w socjalistyczne swe znaczenie. Autor w tym wstępie wskazuje na obecną „antinomję społeczną“ i jej okropności. Jest to rodu ludzkiego wtóre przesilenie, „Świat stary umiera, a nowy się rodzi“. W modlitwie, którą nam Chrystus przekazał, „zawarł wszystko, czego nam nadal potrzeba“. Do tej chwili była ona dla nas „słowem zakrytem.“ Dziś Duch S. otwiera nam umysł „abyśmy zrozumieli modlitwę i spełnili ją“. Słowo Boże nie stało się jeszcze ciałem społecznem, dla tego królestwo Chrystusowe nie było dotąd z tego świata.

Syn Boży był pierwszym przesileniem historji, na środku dwóch wielkich epok: przedchrystusowej i pochrystusowej. „W pierwszej był zmysłowy letarg, w drugiej umysłowa bezsenność; tu wieczna nieruchomość tego, co jest; tam wieczny ruch tego, co być powinno“. W epoce przedchrystusowej panowała natura nad duchem, w czasach pochrystusowych duch rozciągnął panowanie nad naturą. Trzecia epoka, w którą dopiero wstępujemy, musi być „woli“ i „wolności“ wyczynem. Czyn — to tej epoki pan. Ludzkość zdobywać sobie musi i zdobędzie błogosławieństwa nowego czasu. Da nam tę dzielność uprawa darów Ducha S. w nas. Jako Ojciec i Syn, byli przedstawicielami dwóch poprzednich epok tak obiedwie spełnią się przez epokę Ducha S. Dawniejsze odrodzenie się świata było z „łaski Bożej,“ dzisiejsze z naszej „własnej pracy“.

Przy przejściu pierwszej epoki w drugą, były wędrówki dzikich ludów, bo trzeba było świeżego materjału na wcielenie nowej idei. I dziś na przejściu do epoki trzeciej dzieją się emigracje nie ludów barbarzyńskich, ale inteligentnych cząstek narodów, a najgłośniejszą jest emigracja polska. To też szczep sławiański, „nad podziw poniżony i sponiewierany, był przez opatrzność do przyszłych powołań zachowany“. „Błogosławieni, którzy cierpią ucisk dla sprawiedliwości, albowiem ich królestwo niebieskie“.

Co potem, gdy dojrzała ludzkość i trzecią epokę żywota swego dokona? Chyba proroczo oznaczyć można, że nastąpi zespołecznienie ludzkości planetarnych i słonecznych ze sobą; że komunja indywiduów zamieni się w komunję światów. „Nadejdzie chwila przekroczenia samej historji ludzkości. I wtenczas dzisiejsze przeczucia, stawszy się świadomemi pojęciami, ze stanu idealnej możebności, w stan czynnej rzeczywistości wkroczą“.

Ktoś powiedział dowcipnie, ale bezgruntownie, że Polska Chrystusowa jest dla „demokracji“, a Ojcze nasz dla „arystokracji“ politycznie wykładaną ewangelję. Cieszkowski jest

gruntownie i wielostronnie ukształconym zwolennikiem filozofji, której Królikowski jest oświadczonym nieprzyjacielem. Już więc dlatego samego, ich socjalne pojmowania słowa Bożego, nie mogą z sobą nie mieć wspólnego. (C. d. n.)

Listy z Niemiec.

III

Berlin w lutym 1875.

Bismark powinienby w wolnych chwilach czytywać sobie Hobbesa... Boć w każdym razie lepiej ubezpieczyć swe sumienie w jakiejś poważnej filozofji, ażeby na wszelki wypadek mieć się czem uratować... Och! to dużo znaczy! Jakżeby dumnym i spokojnym czuł się niejeden złodziej, gdyby znał paradoks Proudhona: „własność jest kradzieżą!“ I dla pruskiego Jowisza byłoby to może wielką pociechą wiedzieć, że genjalny angielski myśliciel uczył, iż wszelka religja o tyle jest religją, o ile jest wyznaniem państwowem, inaczej staje się przesądem. A że uczył akurat przed trzema wiekami — co to znaczy? Prawdy można upodobniać do wina i do masła — stosownie więc do potrzeby mogą być albo im starsze albo im świeższe tem lepsze. Zresztą podobno historja odbywa ruch kołowy i w pewnych odstępach czasu wraca do tychże samych punktów: dlaczegożby więc to, co raz było mądrem, drugi raz przy podobnych warunkach mądrem być nie miało. Nadzieję użyteczności starych maksym podsyca nawet cały widok publicznego życia Niemiec, zawichrzonego religijną walką, której duch przypomina czasy Reformacji. Przebieg tej walki i jej najprawdopodobniejsze rozwiązanie nie obiecuje nic pocieszającego ani dla tych, którzy w niej udział biorą, ani dla tych, którzy jej owoce kiedyś spożywać będą musieli. Zdaje mi się nawet, że fakt ten za mało dotąd wzbudza uwagi i namysłu w porównaniu ze skutkami jakie siłą konieczności się zeń zrodzą. Przyczyna tej politycznej ślepoty ze strony Niemiec kryje się w przesłonięciu interesów religijnych narodowościowemi, katolicyzmu — polskością. Chociaż pożar ogarnął już całe państwo, dobrze karmione i tresowane dziennikarskie psiaki wyją ciągle tylko ku stronie Poznania... Despotyzm rządu dla uciszenia wolno-myślicielstwa swych poddanych rzucił im do ogryzania plemienną ku Polakom nienawiść, a tymczasem zaczął golić własną ich skórę. Zaczęto się od wyznaniem a w słowach staczano bój tylko z narodowością. Wiecznie zgłodniały patrjotyzm łykał długo z zadowoleniem wiadomości o więzieniu polskich biskupów, po pewnym jednak czasie spostrzegł, że mu one mniej smakują, że ich strawić nie może, a wreszcie że mu do nich zaczęto mięszać własną jego krew. Z tą chwilą zbudziła się samowiedza, która wprawdzie nie przemówiła jeszcze głosem trzeźwo orjentującej się w położeniu opinji, w której jednak dosłyszeć już można wyraźnie słowa tłumionej niechęci. Tym sposobem w sprawie tej coraz bardziej zacierają się cechy polityczne a występują religijne, kojarząc elementa, które przedtem nie miały z sobą nic wspólnego. Los wyznania kazał zapomnieć o różnicach plemiennych i zsolidaryzował oba żywioły w jednym wspólnym interesie. Ztąd też gdy dawniej dość było dla scharakteryzowania walki powiedzieć, że rząd pruski prześladuje polskie... dziś dodać trzeba — katolickie duchowieństwo. Prześladowanie to zaś nie może w żaden sposób pozyskać sobie sympatji tych, którzy nawet po za jego kołem stoją. Widzieć lub słyszeć o wdzieraniu się żołdactwa do kościołów i odrywaniu księży od ołtarza, cały systemat chańskiej procedury — wszystko to tak obraża uczucia cywilizowanego człowieka, że nie potrzeba być skrzywdzonym, ażeby doznać głębokiego oburzenia. W czasach, w których myśl człowieka wysila się na jak najbardziej ludzkie sposoby traktowania zbrodniarzy, dziś kiedy nie pozwalamy zwierząt tyranizować, to barbarzyńskie postępowanie z ludźmi, którzy bądź co bądź stoją na czele moralnych interesów znacznej masy, w osobie których obrażamy uczucia miljonów — rumieńcem haniebnego wstydu odciska się na obliczu naszej cywilizacji. Powiedziałem wyżej, iż obecnie tocząca się religijna walka skutkiem zamętu i omyłek w pojmowaniu jej, nie zwróciła dotąd należytej na siebie uwagi. Nie mam tu bynajmniej na myśli ani obecnych ani przyszłych niepowodzeń religijnych. Kto chociaż cokolwiek zna istotę i rozwój wszelakich wyznań, ten jest zupełnie spokojny o losy katolicyzmu w Niemczech. Dla każdej religji ucisk dobrodziejstwem, w prześladowaniu zbiera ona największe plony, męczeństwami się karmi. Nerony zapewniają jej tryumf na całe wieki. Gdzie religja cierpi tam tryumfuje, gdzie jest tępioną tam się najlepiej krzewi. Katolicyzm więc wyjdzie z boju z olbrzymiemi łupami. Otóż niestety pomiędzy temi to jego łupami znajdzie się zarazem i wielka szkoda. Wszelkie religijne starcia obok korzyści przynoszą zarazem może równe straty, gdyż nie tylko przez czas swego trwania, ale na długo potem zarażają myśl ogółu fanatyzmem. Rozpłomienione namiętności dochodzą zwolna do tak natężonej temperatury, że wszystkie uczucia stapiają się w jeden popęd religijnego zelotyzmu. Wtedy myśl traci przytomność, najważniejsze sprawy tracą wartość, wszystko biegnie z potokiem religijnego roznamiętnienia. Najchłodniejsi i najrozważniejsi ludzie stają się ortodoksami, ulegają szałom jakiejś histerji. Kto chce to zjawisko obserwować, dość niech przypatrzy się Poznańskiemu. Tam wszystko teraz ucichło oprócz głosów religijnej walki. Jej atmosfera do tego stopnia rozpaliła umysły, iż jedni piszą a drudzy akceptują takie rzeczy, które chłodną rozwagę w rzeczywiste zdumienie wprawiają. Kiedy np. weźmiesz do ręki którykolwiek numer Warty, zdaje ci się że marzysz, że cię data myli, że trzymasz jakiś arkusz z pierwszych wieków chrześcijaństwa. W Królestwie Polskiem wychodzą pisma ultramontańskie i wyłącznie religji poświęcone, a chociaż je miejscowa opinja uważa za zbyt fanatyczne, nie wytrzymałyby najdalszego porównania z zelotyzmem Warty. Boć przecie Katolicki Przegląd nie odważyłby się nigdy najwyraźniej wydrukować rad jakiegoś księdza, że kobiety uczyć naprzód trzeba języka ojczystego t. j. polskiego, potem matczynego t. j. łaciny, ale broń Boże łaciny nie na autorach pogańskich, lecz na pismach teologicznych i na mszałach. W innym znowu numerze taż Warta ani podejrzywając ile humorystycznem jest jej wystąpienie z największą powagą kontroluje obliczenie astronomiczne mniemaniami proroków. Też same zaś znamiona, które charakteryzują literaturę, charakteryzują również nastrój umysłów. Niech zaś nikt w słowach moich nie dopatruje ani wyrzutu ani nagany. Fanatyczne skierowanie, które tu zaznaczam, jest faktem nieugiętej psychologicznej konieczności i jako takie nie podlega żadnym oskarżeniom. Chociażbyśmy nawet stanęli na pozycjach przeciwległych religijnemu roznamiętnieniu w Poznańskiem jeszcze i wtedy przyznać mu powinniśmy rację bytu. Inaczej być nie może. Przy tych warunkach, przy okrucieństwie i samowoli rządu względem religijnych interesów kraju, podobny nastrój jest zupełnie naturalny i żadnego innego oczekiwać nie podobna. Jeżeli zaś odejmiemy ten stopień natężenia, jakiem go uczucia narodowe potęgują, to otrzymamy usposobienie a raczej rozdrażnienie jakie dziś coraz szerzej ogarnia ludność niemiecką. Tu naturalnie namiętności są słabsze bo płyną tylko z jednego źródła — religijnego. Zastanowiwszy się więc nad tem, ile strat ponosi myśl przez to ciągłe podpalanie jej tyranizacją, obrachowawszy przybliżenie, ile to sił duchowych na długie czasy zabsorbuje naprężony zelotyzm, łatwo dojdziemy do wniosku, że obecna religijna walka, że Bismarkowski despotyzm cofa rozwój myśli co najmniej o pół wieku. Niemcy jeszcze tego nie widzą, wyjąwszy partję postępowców socjalistów, umie ich bowiem wybornie magnetyzować płatny zachwyt opluwanych na wyścigi dziennikarskich pismaków. Rewolucja więc dotąd zażegnana, do czego może najbardziej dopomaga leniwy temperament plemienia i te zbiorniki niemieckiej pociechy, te twierdze, które, według genjalnej uwagi Kraszewskiego, pewniej strzegą wybuchów niż wszystkie cytadele, mianowicie browary...

Jak wspomniałem, jest jednak w Niemczech stronnictwo umysłów nieprzejednanych, niekupionych i nieoklamanych. Z organów więc tego stronnictwa często usłyszeć można skargę cierpień narodu. Zwłaszcza noworoczne rozpamiętywania dały sposobność do wielu gorzkich westchnień. W czasie gdy ta cywilizacyjna walka — mówi w pierwszym tegorocznym numerze Beobachter, grozi nam zatruciem całego narodowego życia i obecnej epoce wyciska jakieś przedwiekowe znamię, obok średniowiecznej starzyzny kwestja socjalna podnosi swą całkiem nowoczesną głowę meduzy. Praca nad rozwiązaniem tej kwestji powinnaby stać się jednem z najważniejszych zadań państwa, które tymczasem nie uważa ażeby miało coś lepszego do czynienia jak policyjnemi dzieciństwami, rozwiązywaniem związków i zgromadzeń, szykanami prasy itp. działać przeciw ruchowi, któremu głębokiej słuszności nie mogą zaprzeczyć nawet ci, którzy zupełnie nie godzą się na formę, w jakiej kwestja jest postawiona i broniona. Obok znowu tych walk i kłopotów przesuwa się na politycznej arenie złowroga troska o dziś; upadła spekulacja, ogólna niewiara, kwestje środków życia w dwu postaciach — wygórowanych cen i fałszowanych towarów; dalej klęski pieniężne — nieszczęsne skutki miljardów, a ponad tem wszystkiem hańba po wsze czasy dla niemieckiego imienia ugotowana w kotle czarownic mieszczącym w sobie gadzinowy fundusz. Z dobrą nadzieją — powiada w zakończeniu swych jeremjad tenże dziennik — przestępujemy próg nowego roku, od którego z zaufaniem oczekujemy coraz dalej rozwijającego się otrzeźwienia w niemieckim narodzie, coraz szerzej rozpowszechniającego się przekonania, że tylko wolność wywrotować nas może z nieszczęść tej „wielkiej epoki.“ Są to słowa Niemca, słowa smutniejsze niż by się z zapłaconych dytyrambów na cześć „wielkiej epoki“ spodziewać było można. Nie przeczę iż skarga którą tu przytoczyłem wyszła z najmniej licznej partji, nie osłabia to jednak bynajmniej jej motywów a jej przytłumione echa wyśledzić można nawet w najbardziej optymistycznej prasie. Jeden z największych i najumiarkowańszych w Niemczech dzienników, Gazeta Krzyżowa, zastanawiając się nad religijnem prześladowaniem bez ogródki powiada swemu rządowi: „Że religji wszechmocy państwowej, rzeczywiście braknie chrześcijańskiego pojęcia sumienia i braknąć musi, to rozumie się samo przez się (1, 1875).“ To są znowu słowa czystej krwi prusaka. Cóż w takim razie my nieuprzedzeni i niezaślepieni giermańskim patrjotyzmem mówić powinniśmy? Odpowiedź na to pytanie wstrzymuję do końca mego listu, gdzie się właściwa do tego nadarzy sposobność. Tymczasem zajrzyjmy do literatury.

Tak od pewnego czasu jest w niej wszystko możliwem, że bez zdziwienia spotykasz się na wstępie z uczonym i w wszelkie pozory „ogólnego dobra“ zaopatrzonym paskwilem. Tym korabiem na którym w charakterze Noego niejaki pan Georg Köberle ma uratować cnotę niemieckiej literatury z potopu zepsucia jest jego książka p. t. *Berliner Leimruthen und deutsche Gimpel* (Leipzig 1875). Wyminąłbym to arcydzieło gdyby nie chęć ostrzeżenia czytelników i nie mus dotknięcia choć jednego okazu z licznej rodziny tegoż gatunku. Uzdatniony w swym zawodzie p. Köberle zaczaił się głównie na Pawła Lindau, którego obsypał gradem wymysłów. Nie potrzeba wcale obu tych panów znać, ażeby zrozumieć ich stosunek a nadewszystko uczucia napastującego. Nie ma podobno na świecie rzeczy, od którejby się czegoś nauczyć nie można — więc też i próba katillinarji p. Köberle coś nam powie. Autor zadaje sobie np. takie pytanie: jaki jest cel Pawła Lindau?*) i odpowiada na to: „Jego celem robienie pieniędzy przez zatruwanie niemieckiej sztuki i literatury płochością ducha: środkiem do tego służy mu literackie fałszerstwo i systemat kłamstwa paryskiej dziennej prasy; jego taktyka polega na zręczności otrębywania siebie za poczciwca i oszołomienia powierzchownych czytelników czczemi frazesami o swoim celu i środkach. Jeżeli więc z jego polemicznych plwocin wykreślimy to co spoczywa na niewątpliwych przekręceniach, to pozostaną tylko rubaszne albo satyryczne tyrady bez logiki i znaczenia, w których ukazuje się nam doskonały z całą swą nieobyczajnością paryski ulicznik.“ Za to p. Köberle nic a nic nie przypomina paryskiego ulicznika — nieprawdaż? Dajmy mu jednak pokój i nie rewidujmy jego obyczajności. Niech sobie wędruje pod bibljograficzny numer, z pod którego za pół roku z pewnością żadna pamięć go nie wywoła, a my pocieszmy się czemś ucieszniejszem u jego piśmieniczych *Landsman'ów*. Jak na zmianę po paszkwilu, *Die neuere Schöpfungsgeschichte nach dem gegenwärtigen Stande der Naturwissenschaft* (Leipzig 1875) Arnolda Dodel, jest arcydziełem. Gmach duży, pokaźny, dobrze rozłożony, bogaty, trwały. — Ma tylko jedną wadę.. cięży na jego hypotece równy całkowitej nominalnej wartości dług Darwina. Cały bowiem materjał z jakiego jest zbudowana „die *neuere* Schö-

*) Znany pisarz i redaktor „Gegenwart.“

pfungsgeschichte". należy do angielskiego myśliciela. P. Dobel nawet widocznie chcąc nie znudzić czytelnika ustawicznem powtarzaniem nazwiska swego wierzyciela poprzestaje tylko na oznaczaniu darwinowskiej pożyczki cudzosłowami, któremi popstrzona jest cała książka. Najsamodzielniejszym jest rozdział pierwszy, w którym autor kreśli obraz darwinowskiej szkoły ugrupowanej naokoło mistrza. W dalszym ciągu oryginalność ogranicza się na niewielu spostrzeżeniach i na ciągłem przeplataniu zagadnień naturalistycznych społecznemi lub moralnemi. Teorja bowiem Darwina jest kanwą na której jego uczniowie wyszywają najrozmaitsze wzorki, często zupełnie ze swem tłem niezgodne. Zwłaszcza darwinistyczni socjologowie albo raczej socjologiczni darwiniści, którzy dla tych lub innych względów a najczęściej dla nadania swym wywodom interesu i popularności chętnie potrącają o kwestje społeczne, dla których mają zawsze pod ręką gotowe rady. Że zaś znają oni tylko jedną ich stronę i zajmują się niemi tylko mimochodem, więc też owe wyroki zwykle są rozcinaniem a nie rozwiązywaniem węzłów. Dodel — jako człowiek młody i zapalony — ustawicznie zapisuje socjalnym chorobom lekarstwa według darwinowskiej receptury. Nie są one prawie nigdy (o ile to od niego samego zależy) zbyt głębokie i pomysłowe, są jednak prawie zawsze rozumne. Jednem z takich przyległych właściwemu przedmiotowi książki a nadto jednym z najulubieńszych tematów jest sprawa kobieca, do której Dodel z przyjemnością robi wycieczki, nie tylko jako młody uczony ale nadto jako docent uniwersytetu w... Zurychu. „Jeżeli mężczyzna — mówi autor — we wszystkiem co wchodzi w zakres ludzkiej działalności dosięgnął znaczniejszej wysokości, niż to dotąd zdołała uczynić kobieta, jeżeli jest lepiej od niej uzdolnionym do tego ażeby zostać głębokim myślicielem, dobrym matematykiem, artystą, technikiem, jest to z pewnością nic innego jak rezultat doboru i to w znacznej części doboru płciowego... Przy odpowiedniej uprawie umysłu, przy gimnastyce duchowej, wykonywanej do późnego wieku, wzrasta nie tylko umysł jednostki lecz także i masa mózgowa modyfikuje się w odpowiednim kierunku, co pomaga do dziedzicznego przekazywania nabytej większej ekspensywnej siły ducha... Kobieta zostanie kobietą nawet wtedy gdy tak jasno i głęboko myśleć będzie jak mężczyzna. Oto postara się sama jej natura... Po za kobietą uczuciową i jej powierzchownem ukształceniem często i chętnie kryje się z powodzeniem habit i kadzielnica. Ztamtąd to mistycznie przenikająca atmosfera wieków średnich znajduje tak łatwy przystęp do całego społeczeństwa. Miazmaty dają się wszędzie dostrzegać. Nasz czas nie jest jeszcze od nich wolny i długo wolnym nie będzie dopóki wiedza nie stanie się własnością kierowniczki domu... Emancypacja kobiet może być jeszcze kwestją czasu, tak jak rozwiązanie kwestji socjalnej w ogóle, której ona jest jednym odłamkiem." Na znany zarzut niższości umysłowej kobiet sądzonej historycznie, Dodel odpowiada również znanym argumentem, że wtedy dopierobyśmy w tej mierze decydować mogli, gdyby obie płci odbierały równomierne wykształcenie. Ponieważ zaś tylko mężczyzni korzystali z przywilejów nauki, więc nic dziwnego, że wysokie natchnienia tylko im się dostawały. Mimo jednak tych przywilejów ileż tysięcy poetów i wierszorobów idzie na jednego Szekspira lub Goethego, Schiller'a lub Dante'a!" (D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma — przełożone z oryginału przez J. I. Kraszewskiego; Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego — 1875.

Oto nowe dzieło, stanowiące z kolei 15. tom. znakomitej bibljoteki, którą niestrudzony nakładca, p. Żupański wydaje od dłuższego czasu pt. „Pamiętniki z ośmnastego wieku". W. Engeström był posłem króla szwedzkiego w Polsce w ważnej dla nas epoce sejmu czteroletniego, później ministrem spraw zagranicznych i kanclerzem państwa. Ożeniony z Polką, p. Rozalją Chłapowską, ukochał nasz kraj jak drugą swoją ojczyznę i zmarł w r. 1826, w ziemi pol kiej, bo we wsi własnej Jankowice w Poznańskiem. Pamiętniki takiego męża muszą być ważne i ciekawe. Są też niemi w wysokim stopniu. Oto co p. J. I. Kraszewski pisze o nich między innemi w przedmowie do tego dzieła: „Stanowisko autora, jego szczera przyjaźń dla Polski, której obywatelstwo pozyskał na czteroletnim sejmie, wymownie zalecony przez J. U. Niemcewicza, ścisła zażyłość i wzajemna miłość łącząca go z Ignacym Potockim, Niemcewiczem i patrjotami, których dziełem była ustawa z d. 3 maja, naostatek zacny i szlachetny charakter autora, polecają dzieło jego." P. Kraszewski otrzymał od wnuka autora, mieszkającego w Dreźnie, a znanego w naszej literaturze, wszystkie papiery jego dziada, pisane częścią po francusku, częścią zaś po szwedzku, i w nich ułożył ten tom znakomity. „Warszawa i społeczeństwo polskie, mówi dalej szanowny tłómacz, wybornie są, acz nader złośliwie, odmalowane w Szulca podróży, lecz Engeströma obraz z większą miłością dla Polski, z głębszą stosónków znajomością; z innego daleko punktu kreśli nam portrety dyplomatów, ludzi wpływowych, kobiet, wszystkich, aż do niektórych komparsów dramatu.. Do najciekawszych pamiętników z XVIII wieku należą te Engeströmowskie". Zbytecznem byłoby dodawać, że wierność przekładu i potoczystość języka pana Kraszewskiego, robią czytanie dzieła tak przyjemnem, że się od niego oderwać prawie nie można.

Niemiecka.

— Doctor Hellmond und seine Frau. Dem Holländischen des J. I. Cremer nacherzählt von Adolf Glaser. Zwei Bände. Braunschweig — 1875.

Cremer, znany holandzki nowelista, opisuje w tej powieści młode małżeństwo lekarza Hellmond i żonę Ewę, którzy pobrawszy się z czystej miłości, posiadają wszelkie warunki zostania szczęśliwymi. W krótkim jednak czasie nadciągają chmury, grożące ich szczęściu a dla Hellmonda nawet tak niebezpieczne, iż stają się przyczyną zniszczenia całej jego egzystencji. Na kim więc cięży tu wina? Charakter Hellmonda skreślił nam autor w wielkich zarysach jako zupełnie czysty, skutkiem czego szczerze sympatyzujemy z tą postacią. Ewa otrzymała tak zwane bardzo staranne wychowanie, jest zamiłowaną w sztukach i umiejętnościach, posiada wiele towarzyskiej ogłady. Kocha swego małżonka i jest uczciwą żoną. Czegóż więcej może mężczyzna żądać od kobiety, którą nazwał żoną? Czyż nie powinno być obowiązkiem takiego mężczyzny, wszystkim życzeniom takiej żony zadość czynić, nawet jeżeli one nie zgadzają się z rozsądkiem? Ty mnie już nie kochasz, odpowie, jeśli mąż ośmieli się wystąpić z najmniejszem przedstawieniem. I nie ma rady na odparcie takiego zarzutu, trzeba więc robić, co pani każe. Jakież ale są zachcianki naszych takzwanych modnych pań? Oto chcą wszystkie bez wyjątku błyszczeć w towarzystwie, żadna nie myśli pozostać za drugą, każda wzdycha do świetnej toalety i klejnotów, wszystkie usiłują dom prowadzić na wielką skalę. Zajęcie się gospodarstwem, troska o męża i dzieci, staranie, by im w domu najlepiej było, to rzeczy nadto trywialne. Prowadzi więc dom otwarty, stroi się, błyszczy w społeczeństwie, wszyscy podziwiają jej dowcip, toaletę, znalezienie się, jednem słowem wywalcza sobie towarzyskie tryumfy. Nie byłożby więc barbarzyństwem ze strony mężczyzny, posiadającego taki klejnot, burzyć takie życie wspominając o jakichś tam deficytach? To też Dr. Hellmond nie czyni tego. Jakież ale skutki? Oto, aby odpowiedzieć wszelkim wymaganiom, traci najsamprzód reputację sumiennego lekarza, wpada w lichwiarskie długi, położenie staje się coraz okropniejsze, które nareszcie Hellmondowi otwierają oczy i przyprowadzają do świadomości, kończącej się obłąkaniem. Słusznie zapytujemy teraz, jaką była wina Hellmonda? oto słabość dla żony, którą kochał i dla tej miłości poświęcił więcej, niż mu wolno było, bo honor i majątek. Winę Ewy dzieli większa część pań naszych, w których mężowie się kochają, skutkiem czego mają wpływ na nich, którego też nadużywają, byle zaspokoić żądzę panowania i fałszywą ambicję. Powieść ta należy może do najlepszych, jakie się w tych czasach pojawiły; — charaktery wszystkie przeprowadzwne konsekwentnie, a typy prawdziwe i z życia zdjęte.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Dziś, w niedzielę, nastąpi uroczyste wręczenie p. Sewerynowi Goszczyńskiemu, książki zbiorowej „Sobótka," podczas uczty wieczornej w sali ratuszowej, którą komitet urządza.

— Niedawno umieściliśmy artykuł o „sumienności autorskiej," w którym mówiliśmy o p. A. Kuliczkowskim, jego historji literatury polskiej i dr. Antonim Małeckim. W odpowiedzi na to nasze wystąpienie p. Kuliczkowski zawiadamia nas, że wygotowuje gruntowną obronę, w której wykaże, że plagjatu wcale się nie dopuścił. Z całą bezstronnością użyczymy miejsca tej obronie, ponieważ nie szło nam nigdy o osoby, ale o zasady, których postanowiliśmy bronić. Na razie zatem wstrzymujemy się także od wszelkich uwag nad krótką odpowiedzią p. Adama Kuliczkowskiego, umieszczoną w „Gazecie Lwowskiej" z d. 5. marca, nr. 52, która sprawy w żadnym punkcie nie wyświeca.

— Upłynionej niedzieli, d. 28. lutego, odbyło się walne zgromadzenie „Stowarzyszenia pracy kobiet." Z przedłożonego sprawozdania za rok ubiegły dowiedzieliśmy się, że uczennic jest już 115. Urządzono pracownię szycia białego, krawiectwa i szewstwa. Teraz przyjdzie kolej na pracownię introligatorską i fryzjerską. Prócz tego urządzono kursa naukowe: rachunkowości, religji, historji polskiej, języka polskiego, nauk przyrodniczych, geografji, rysunków i śpiewu. Gospodarstwo było wzorowe, ponieważ ze złożonych na fundusz obrotowy 4.169 guldenów 4 ct. została na rok 1875 kwota 2989 guld. $12^1/_2$ cnt. Całe zgromadzenie zrobiło bardzo dobre wrażenie i życzyćby należało, aby kraj licznym udziałem i gorącem poparciem przyczynił się do wzrostu Stowarzyszenia. Sprawa poprawy bytu kobiet jest dziś tak ważną i piekącą, że powinna zajmować wszystkie umysły.

— Od dłuższego czasu istnieje we Lwowie komitet, zawiązany w celu utworzenia stypendjum imienia ś. p. Stan. Chlebowskiego, byłego dyrektora szkół realnych. Dotąd zebrano 684 guldenów. Komitet uprasza wszystkich ludzi zacnych, aby się przyczynili do powiększenia funduszu, przeznaczonego na utworzenie stypendjów, które przedewszystkiem pozostałe po nieboszczyku sieroty, a następnie uczniowie szkół realnych pobierać mają. Składki przyjmuje p. Fr. Zima, dyrektor kasy oszczędności we Lwowie.

✠ Składki na zakupno „Unji" Matejki wynoszą już we Lwowie zwyż 8 tysięcy guldenów.

— Na ostatniem posiedzeniu (27 lut.) tutejszego Towarzystwa przyrodniczego, nadkomisarz górniczy p. Windakiewicz mówił o syngienicie znajdującym się w kopalni kałuskiej i o łupkach żywicznych z rozmaitych miejsc Galicji, objaśniając rzecz swoją pięknemi okazami pomienionych kopalin. Uchwalono wnieść przedstawienie do ck. Dyrekcji Policji i do Rady miejskiej celem zapobieżenia katowaniu koni w obrębie miasta Lwowa. Dnia 1. marca byliśmy znowu świadkami takiej sceny skandalicznej w ulicy akademickiej, która zgromadziła wielu widzów oburzonych do najwyższego stopnia barbarzyństwem, którego byli świadkami. Wspomniane przedstawienie już wniesiono. Życzymy jak najśpiesznieszego skutku.

Sztuka i literatura.

— Tom I. dzieł Józefa Dzierzkowskiego opuścił już prasę i zawiera prócz życiorysu autora cztery obszerne powieści. Prenumeratorowie naszego pisma płacą za ten tom tylko 1 złr. $12^1/_2$ cnt. Tak taniego wydawnictwa nie było jeszcze w Polsce. Tym z naszych czytelników, którzy nie przysłali jeszcze przedpłaty na te dzieła, radzimy by to jak najprędzej uczynili, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa nakład będzie wkrótce wyczerpany.

— Panna Paulina Lachner, doskonała pjanistka-amatorka, uczennica p. Marka, która już kilkakrotnie talent swój w występach koncertowych poznać dała, odegra w przyszłym tygodniu koncert, połączony z przedstawieniem teatralnem. Dochód z koncertu przeznaczony na korzyść ubogich miasta Lwowa. Współudział wezmą pp. Stanisław Cetwinski, ulubiony tenor-amator i p. Marek. Program bardzo zajmujący zawierać będzie między innemi utworami „Koncert Chopina" na fortepian z tow. orkiestry i śliczną kompozycję Liszta „Venezia e Napoli" — zatem spodziewać się należy licznego zebrania publiczności.

— Panna Zofja Siegenfeld odegra w sali ratuszowej dnia 14. marca koncert, w którym udział wezmą pp. Zakrzewski i K. jakoteż pierwsze artystki teatru naszego.

✠ W Warszawie powstała myśl wydania „Albumu Wilanowskiego", w sposób podobny jak Album

Matejki. Bogate zbiory tamtejsze, galerja obrazów, freski, najdrobniejsze szczegóły architektoniczne, jako też całość zabudowań wejdą do Albumu, wykonanego przez najzdolniejszych rysowników i rytowników warszawskich. Tekst objaśniający pisze Hipolit Skimborowicz.

P. Chlebowski, biegły malarz sułtana, pracuje, jak pisze „Czas“, od wielu miesięcy nad wielkim obrazem historycznym. Płótno niezwykłych rozmiarów (11 metrów szerokości a 5 wysokości) przedstawia ostatni epizod zdobycia Konstantynopola przez Mahometa II. Zdobywca siedzący na przepysznym rumaku arabskim, otoczony przyboczną strażą, zatrzymuje się na placu św. Zofji, gdzie patrjarcha Genadjusz przyjmuje go na czele duchowieństwa greckiego i rzuca pod nogi konia jego naczynia i skarby kościelne. W samym środku obrazu widać na stopniach posągu Justyniana zwłoki cesarza Konstantyna, zabitego podczas szturmu na mury Bizancjum, a głowę jego odciętą i osadzoną na drzewcu kopji. Po jednej i drugiej stronie artysta bardzo szczęśliwie ugrupował płaczące kobiety i dzieci: na ostatnim planie wznosi się wspaniała kopuła kościoła św. Zofji. P. Chlebowski oddał się wyłącznie pracy nad tą niepospolitą kompozycją, która dzięki jego kilkoletnim poszukiwaniom i studjom po bibljotekach i muzeach europejskich, nosi już najwierniejszy charakter i typ osób figurujących w obrazie, a przytem i barwę epoki. Prawda historyczna i koloryt miejscowy nie stanowią jednak jedynej zalety tego dzieła, gdyż sądząc jedynie po grupach, jakie wyskakują z płótna, można przewidywać, że energiczny rysunek połączony z żywością kolorytu, przyczyni się nie mało do nadania wartości artystycznej tej kompozycji. Artysta wykonał już najtrudniejszą część swego obrazu. Jeszcze kilka miesięcy wytrwałej pracy, a utwór będzie skończony i godny zwrócić na siebie uwagę świata artystycznego.

— Niejednokrotnie w Warszawie usiłowano wydawać pisma czasowe w języku fracuskim; najdawniejsze sięga 1756 r.; wszystkie krótko trwały, a kto ciekawy ich dziejów, niech przeczyta rozprawę Sobieszczańskiego w encyklopedji powszechnej Orgelbranda pomieszczoną, pt. Czasopisma. Do tej pracy dorzucić jeszcze możemy bibljograficzny szczegół o wychodzeniu pisma francuskiego w Warszawie, o którem Sobieszczański nie wspomina. Mamy oto przed sobą prospekt owego dziennika, noszącego tytuł „Le chevalier errant. Ouvrage periodique“ (Błędny rycerz, pismo perjodyczne.) Pismo to ukazywało się w r. 1815 czy 1816 lecz niedługo ustało. Każdy numer Chevaliera zdobił drzeworyt wyobrażający starożytnego rycerza w zbroi i przyłbicy. Zajmowało się to pismo umiejętnościami, naukami i sztukami: wychodziło 1, 11 i 22-go każdego miesiąca. Oto słowa prospektu: „Traktowane tu będą nauki moralne, historja, sztuki, przemysł, rolnictwo itd. Zbierane będą utwory piękne i wzniosłe z autorów tak starożytnych jak i nowoczesnych i cokolwiek krytyki, — dawać się także będzie nieco z przyjemnych i ujmujących mód (?) o dobrym guście, o teatrze i gastronomji (!), nic zgoła nie zostanie zaniechanem, aby się stać pożytecznem i miłem“ (dosłowne tłumaczenie z francuskiego). Dla interesujących się bibljografją, wzmianka niniejsza nie może być obojętną.

Od trzech lat zawiązało się w Atenach tow. mające na celu odkopanie starożytnego miasta; towarzystwo to zbiera także posągi, które się w innych okolicach Grecji znachodzą. Poszukiwania te doprowadziły do znakomitych rezultatów. Ateny posiadają w tej chwili jedyny zbiór posągów starogreckich, i w Atenach tylko można oglądać dzieła sztuki pochodzące z czasów Fidjasza i Peryklesa a w zupełności prawie zachowane. I tak przechowują w świątyni Tezeusza olbrzymi posąg Hermesa będący może pierwowzorem wedle którego odtworzono sławnego Merkurego Belwederskiego. W tejże świątyni jest kilka przedziwnie zachowanych stel (grobowców,) z epoki a może i dłuta Praksitelesa i Skopasa. Wreszcie przedziwnie piękny posąg Hery, i płaskorzeźba wyobrażająca Demetrę, Persefonę i Jakcha budzą najwyższy podziw znawców. W tej chwili odkopują koło kościoła św. Trójcy pod Atenami starożytny cmętarz, gdzie znachodzą wielką bardzo ilość posągów i płaskorzeźb. Zwracają w szczególności na siebie uwagę: stela grobowa, dziewczyna w stylu Praksitelesa, jeździec na koniu stojącym dęba i Cerber pies piekielny z epoki wojen Tebańskich, a wreszcie kaplica z najlepszych czasów sztuki, w której się znajdują dwa drapowane posągi bogiń. Kaplicę tę postawiły za dni Peryklesa dwie matrony ateńskie, zwane Demetris i Pamfila. Posągi przedstawiają jak się zdaje Hestję i Irenę i są symbolem ciszy i trwałości, które i w ziemskich grodach i na wyspach szczęśliwych zasiadać winne. Posągi te wykopane w minionem lecie są może najpiękniejszem w zupełności do naszych czasów przechowanem dziełem dłuta Helleńskiego. Równają się z dotychczas znanym pod względem zadziwiającej prawdy, przewyższają je groźną pięknością koncepcji. Zbyt mało znane wykopaliska Ateńskie rzucą zupełnie nowe światło na dzieje starożytnej sztuki, i muszą kiedyś potężnie wpłynąć na rozwój nowożytnego rzeźbiarstwa.

— W paryskim „Théatre français“ przedstawiono ostatniemi czasy nową tragedję Henryka de Bornier: „La fille de Roland,“ której powodzenie było ogromne. Rzecz dzieje się za Karola Wielkiego.

Katedra św. Szczepana we Wiedniu ma być w ciągu pięciu lat starannie odbudowaną i to kosztem rządu. Rada gminna zaś przeznaczyła dodatkowo na ten cel 75.000 guldenów.

Obok pomieszkania Kaulbacha w Monachjum, wdowa po nim zamierzyła wybudować muzeum, w którem wszystkie znajdujące się jeszcze w posiadaniu jej oryginały, a ze sprzedanych dzieł prac Kaulbacha fotografje wystawione będą na wieczystą pamiątkę i uczczenie zmarłego mistrza. Muzeum to skończonem być ma najdalej do 1. września b. r. poczem dla publiczności otwartem zostanie.

Madonna della Rovera (jedno z najpierwszych arcydzieł Rafeala) będąca własnością dr. Peirano z Genuy, tak się podobała carycy moskiewskiej, że bądź co bądź chciała ją kupić. Właściciel odpowiedział na to, że takiej pamiątki historycznej nie sprzeda nawet za miljony. Tak ludzie umieją sztukę kochać!

Wszystkie rysunki i szkice słynnych mistrzów (Rafaela, Michelangdo, Leonarda da Vinci, Andrea del Sarto, Carlo Dolce, Rubensa itd.) znajdujące się w galerji degli Uffizi we Florencji, dla uprzystępnienia ich szerszej publiczności wydane wkrótce zostaną w fotolitograficznych odbiciach. Co 14 dni pojawi się zeszyt o 4 ark. in folio.

W Wersalu w zbiorze prywatnym znaleziono pięć starych znakomitego pędzla obrazów, których ślady już od kilku wieków zupełnie się zatarły. Malowidła te są: „Święta Agata w więzieniu“ Guido Reni'ego, „Śmierć świętego Sebastjana“ Corregia „Portret Tycjana“ Rembrandta, „Trzej królowie“ Pawła Veronese i „Taniec ludowy“ Jemersa. Wszystkie te arcydzieła wystawiono na sprzedaż w Wersalu, dokąd ciągną tłumy publiczności z Paryża.

Podróże, odkrycia i wynalazki.

— Na jednem z ostatnich posiedzeń Sztokholmskiej Akademji umiejętności, oznajmił profesor Nordenskjöld gotowość Oscara Dicksona z Gotenburga dostarczenia środków dla nowej wyprawy arktycznej. Wyprawa ta ma na wiosnę skierować się ku Nowej Ziemli i morzu karyjskiemu dla przeprowadzenia w dalszym ciągu badań naukowych, które w ostatnich latach szwedcy uczeni rozpoczęli na Szpitzbergu i okolicznych wodach.

— Dowiadujemy się, że nasz ziomek p. Marjan Orłowski, pracujący w laboratorjum chemicznem uniwersytetu lipskiego, odkrył cały szereg eterów, z których jedne są izomerne z dotychczas znanemi, inne zupełnie nowe. Bliższe szczegóły zamyśla on, po ukończeniu swoich badań, zamieścić w „Pamiętniku Nauk Ścisłych,“ wychodzącym w Paryżu.

W Atenach przy oczyszczaniu koryta rzeki Ilyssus zrobiono nader interesujące archeologiczne odkrycie, — pod drugim mostem kolei do Peraeju prowadzącej. Robotnicy dokopali się najprzód do cząstków jakichś starych murów, potem znaleźli kolosalny tors marmurowy bez szczególnej wartości a nareszcie odsłonili grobowiec nadzwyczajnej piękności. Płyta tego grobowca przedstawia trzy postacie naturalnej wielkości: młodzieńca, widocznie ofiarę przedwczesnej i gwałtownej śmierci, wyrobionego w wypukłorzeźbie, starca w płaskorzeźbie wpatrującego się w martwego młodziana i małego chłopczyka siedzącego poniżej prawego kolana młodzieńca. Z drugiej strony przy nogach zmarłego znajduje się figura psa. Całe to dzieło budzi wielki interes w kołach archeologicznych.

— Walter, właściciel zakładu wyrobów blacharskich w Warszawie, wynalazł latarnię przydatną do każdego gospodarstwa z zupełnem zabezpieczeniem od pożaru, obok bowiem mocnego światła jakie wydaje, może być na wszystkie strony obracaną, jednak światło w niej nie gaśnie i nafta nie wylewa się, jest prócz tego powleczona siatką niedopuszczającą żadnej komunikacji ognia na zewnątrz.

— W dymie tytuniowym odkryto ostatniemi czasy gaz trujący, tak zwany tlenek węgla. Ma to być najszkodliwsza ze wszystkich części składowych tego dymu. Tlenek ten jestto gaz bezbarwny, przezroczysty, bez zapachu. Dotąd nie zdołano go skroplić pod wpływem silnego ciśnienia i oziębienia. W wodzie rozpuszcza się bardzo mało, a jest tak zjadliwą trucizną, że wdychanie go nawet w bardzo małych ilościach śmierć sprowadza. W 100 częściach objętości dymu tytuniowego, znajduje się 5—13 części tlenku węgla a 0—16 kwasu węglowego.

Gospodarstwo i handel.

— Paryski „Monit. Univ.“ donosi, że za inicjatywą p. Michel Chevalier tworzy się w Paryżu międzynarodowa Izba handlowa. Ze strony Francji biorą w niej udział pp. Wołowski, Scheurer, Dollfuss i Mieg, ze strony Austrji generalny konsul z Peru p. Bauer, ze strony Anglji p. Murray. Głównym celem stowarzyszenia tego będzie! ułatwienie obrotu handlowego, ujednostajnienie ustaw handlowych i podejmowanie inicjatywy w dziełach, któreby podnieść mogły handel międzynarodowy.

— Dnia 1. bm. rozpoczęła się w Paryżu konferencja metryczna, w której biorą udział wszystkie państwa europejskie, nawet Turcja i północne Stany amerykańskie.

— Dębowe progi kolejowe, będą wkrótce zastąpione żelaznemi. Progi takie znajdują się już na kilku kolejach w południowych Niemczech, obecnie układają je na kolejach państwowych w Alzacji i Lotaryngji, a wkrótce mają być zaprowadzone w Niemczech północnych. Progi żelazne kosztują wprawdzie drożej, ale za to w porównaniu z dębowemi są nierównie trwalsze.

— W roku ubiegłym, 1874, Francja wywiozła za granicę samych płodów gospodarstwa wiejskiego za 1.217.300.000 franków. W imponującej tej sumie spotykamy następujące cyfry: za wino 238 miljonów; za kasztany 2 miljony; za nasiona 22 miljony; za jaja 35 miljonów, a za masło 92 miljony. Eksport cały odbywał się głównie do Anglji.

— Sprawozdanie styczniowe z kolonji złożone pruskiemu ministerstwu handlu okazuje, że ostatni miesiąc r. 1874 był bardzo smutnym dla handlu i przemysłu. Bilanse wielkich fabryk żelaznych, z bardzo małym wyjątkiem, wykazują olbrzymie straty w interesach. Tak samo wszystkie prawie fabryki towarów bawełnianych i jedwabnych. Handel zbożowy nie mniej zatrważający się przedstawia a do kramarzy en detail bezustanne skargi na brak zupełny odbytu dochodzą.

Stowarzyszenia.

— Istniejąca od 8 lat bibljoteka polska w Jassach i Niamen w Rumunji, w 1874 r. miała dochodu 138,58 fr., rozchodu 113,70 fr., na r. b. zatem pozostało tylko 24.80 fr. — P. Ludwik Wołowski znakomity ekonomista, został prezesem centralnego towarzystwa agronomicznego we Francji. — Towarzystwo przemysłowców polskich w Wrocławiu liczy obecnie 105 członków, w drugiem ubiegłym półroczu odbyło 27 posiedzeń i posiada bibljoteczkę. Stan kasy po strąceniu wydatków wynosi tylko 49 tal.

Sport.

— Grono rossyjskich oficerów gwardyjskich zamierza urządzić wyścig konny z Petersburga do Wiednia. Warunki wyścigu są te, ażeby w ciągu 22 dni na jednym i tym samym koniu stanąć u celu. Zwycięzca otrzyma nagrodę w kwocie 75.000 rubli. Uczestnicy zakładu pewni są swego, licząc na wytrwałość swych dońskich koni.

ROZMAITOŚCI.

— Czytelnicy nasi nieraz już zapewne spotkali się w opowiadaniach podróżników po Wschodzie a nawet w romansach francuskich nowszej szkoły z nazwiskiem haszyszu i opisem skutków tej rośliny. Interesującą więc zapewne będzie dla nich rzeczą, dowiedzieć się kilku nowych szczegółów o tym narkotyku i sekcie, która odeń wzięła swoje nazwisko. Haszysz, co właściwie „korzeń“ znaczy, jest kompozycją, używaną przez dawnych Saracenów i współczesnych Arabów w niektórych okolicach Turcji, a wydobywaną z konopi. Dla przyrządzenia jej bierze się szypułki kwiatu konopi, i gotuje się je z domieszką masła, oleju i innych tłuszczów, następnie zaś tę essencję rozpuszcza się odrobiną wody. W ten sposób otrzymany wywar ma podobieństwo do syropu, ciemnozieloną barwę, narkotyczny zapach i gorzki nieprzyjemny smak. Zwyczajnie przydają go do rozmaitych konfitur; inni smażą powidła z fig i daktyli, i mięszają ją ze sproszkowanemi szypułkami kwiatu konopi, oraz inszemi rozpalającemi korzeniami, tworząc tym sposobem drugi rodzaj haszyszu. Wreszcie naczelnik sekty, o której za chwilę będziemy mówili, przyrządzał dla młodzieńców, będących pod jego władzą, mięszaninę haszyszową także, ale spotęgowaną do najwyższego stopnia a zwaną „Dawamese“. Jestto również wywar z konopi, pomięszany z ambrą, piżmem i kantarydami nawet, jak Aubert Roche twierdzi, oraz innemi rozpalającemi środkami. Mięszanina ta wywołuje silne roznamiętnienie i stan zmysłowej egzaltacji uważany przez ludy wschodnie za szczyt ziemskiego szczęścia. Tę to właściwość haszyszu wyzyskał założyciel sekty Hashasherów czyli Assasynów, powstałej w Persji w roku 1090, a wytępionej przez naczelnika Mongołów Hulaku Chana w r. 1258. Sekta ta, szczególniej w czasach wojen krzyżowych, budziła wielką trwogę; członkowie jej bowiem sfanatyzowani i odurzeni haszyszem dopuszczali się morderstw i czynów niesłychanego zuchwalstwa, gardząc wszelkiem niebezpieczeństwem i hazardując życie na ślepo. Hassan Ben Saba założyciel tej sekty, nazywał sam siebie Scheikh al Dschebel tj. Starcem z Góry. Tajemnicze stowarzyszenie jego dzieliło się na siedm stopni, z których najniższym był siódmy. Do tego stopnia przypuszczanym był lud czyli profani; szósty stopień otrzymywali Laliks czyli aspiranci, młodzieńcy żądni czynów, i pragnący odznaczenia. Dochodzili oni do coraz wyższych stopni przez zasługę, w pośród najosobliwszych tajemnic i obrzędów. Szeroko tę rzecz opisuje sławny orjentalista von Hammer, w swojej historji Assasynów, opartej na podaniach Marco Pola. My wspomnimy tutaj pokrótce tylko, jakiemi drogami dochodził naczelnik tej sekty do pozyskania ślepego posłuszeństwa swoich podwładnych. Odurzano ich haszyszem a następnie na rozkaz szejka przenoszono do czarownego ogrodu Libańskiego, tak że w raju się być sądzili. Tam skosztowawszy do syta przyobiecanych przez proroka wiernym zmysłowych roskoszy, zapadali w ociężałą apatję. Poczem nieprzytomnych jeszcze odnoszono napowrót do Szejka i składano przy nim; a gdy przyszli do przytomności naczelnik sekty wmawiał w nich, że nie odłączali się od niego ani na chwilę i że duchowi ich tylko danem było uczuć przedsmak roskoszy które oczekują na tamtym świecie niewzruszonych w wierze i gotowych w każdej chwili na rozkaz naczelnika życie poświęcić. Tak sfanatyzowani ci młodzieńcy stawali się ślepemi narzędziami swego przewódzcy i z uniesieniem ofiarowywali to ziemskie życie, byleby pozyskać jak najprędzej stałe posiadanie rajskich roskoszy. Do jakiego stopnia posłuszeństwo tych nieszczęsnych fanatyków dochodziło wskazuje najlepiej następujący przykład. Zdarzyło się, że sułtan Seldżuków Dschelaleddin Melek Schah, przysłał do Starca z Góry z wezwaniem, ażeby mu się poddał. W odpowiedzi przywołał starzec kilku młodzieńców i rozkazał jednemu z nich natychmiast w obecności posła życie sobie odebrać. Wezwany, nie wahając się, wbił sobie sztylet w serce. Na drugiego zawołał, ażeby rzucił się natychmiast z pobliskiej skały na dół — i za chwilę zwłoki nieszczęsnego, zmiażdżone leżały już w przepaści. Wówczas Starzec z Góry zwrócił się do drżącego z trwogi posła i rzekł: — „W ten sam sposób słucha moich rozkazów 70.000 wiernych, idź i powtórz tę odpowiedź swemu panu!“

— W r. 1801 w jednym z paryskich teatrów dawano w przekładzie jedną z najsentymentalniejszych, łzawych i czułostkowych sztuk Kotzebuego „Nienawiść ludzi i skrucha“. Utwor ten osobliwszym jakimś sposobem tak się podobał płochej publiczności paryskiej, że musiano go powtarzać niezliczoną ilość razy. Naprożno dziennikarze smagali tę niedorzeczność biczem najostrzejszej krytyki i najdowcipniejszej satyry, naprożno w innych teatrach parodjowano i ośmieszano tkliwy ten dramat, nie tracił on nic z przyciągającej siły swojej, którą wywierał szczególniej na świat kobiecy, wylewający potopy łez przy sposobności każdego przedstawienia tej sztuki. Na ostatniem przedstawieniu jej, właśnie podczas rozdzierającej serce sceny pożegnania dwojga kochanków, gdy licznie zebrani słuchacze we łzach pływali a po za powszechnem łkaniem zaledwo słowa działających na scenie osób pochwycić można było, nagle podnosi się na parterze słuchacz jakiś, tęgie i grube człowieczysko z flegmatyczną, dobroduszną fizjognomją, i nic nie mówiąc, rozpina nad sobą olbrzymi, czerwony parasol, jakgdyby w zamiarze dla zabezpieczenia się od płynących w około potoków rozczulenia. Ta cięta i trafna krytyka sztuki natychmiast zrozumianą została, — i oto nagle jakgdyby czarem, zaszła zupełna metamorfoza w uczuciach publiczności. Rozdzierający serca płacz i łkanie zamieniły się w szalony śmiech i okrzyki wesołości. — Brawo! zabrzmiało ze wszystkich stron wiwaty; — na cześć człeka z czerwonym parasolem posypały się gradem. Dramat Kotzebuego przepadł dla Paryża na wieki.

— Śpiewające ptaki leśne, szczebiocą tak samo niewyraźnie ucząc się śpiewać, jak nasz świat dziecięcy zanim nauczy się jasne pojęcia wyraźnemi dźwiękami wypowiadać; — i ptactwo bowiem, tak jak ludzie, ma na różne pojęcia odmienne dźwięki i sposoby uzewnętrznienia swych myśli. Kto obserwował towarzysko żyjące ptaki, ten potwierdzi, że układając się wieczorem do snu, prowadzą one przed zaśnięciem częstokroć niezmiernie ożywioną gawędę. Ciekawą zaś i osobliwą być powinna dla czytelników naszych wiadomość, że amerykańskie, strojne złoto pomarańczowemi piory kuropatwy skalne, zabawiają się pewnym rodzajem tańca, jak zaręcza przyrodnik K. F. Appun na podstawie spostrzeżeń zrobionych nad niemi na górze Hamikipany, w głębi południowej Ameryki. „Zawsze samczyk tylko, — powiada ten podróżnik, — puszcza się w pląsy z rozpostartemi skrzydłami a stulonym ogonem (damy nasze rozpościerają suknię w tym przypadku) i wyskakuje, stojąc na środku jakiego łomu skalnego, a tymczasem jego towarzysze i towarzyszki siedząc na gałęziach drzew otaczających to miejsce, najosobliwszemi tony swój podziw nad tańcem jego wyrażają. Gdy się wreszcie zmęczy, mięsza się do gromadki słuchaczów, wydając krzyk szczególny, a drugi miejsce jego zajmuje.“ Zauważmy tu jeszcze, że jak mieszkańcy tegoż samego kraju nieraz różnemi narzeczami mówią, tak samo i ptaki. Tegoż samego gatunku ale różnego rodzaju śpiewacy odznaczają się subtelną różnicą w dźwiękach, długości ich i szybkości następstwa po sobie, co łatwo przy pilnej uwadze sprawdzić można.

— Już w najdawniejszych czasach uważano włosy tak na głowie jak i na brodzie za coś czcigodnego i świętego. Narody wschodnie dbały niezmiernie o brodę; żydzi i Turcy dzisiaj jeszcze są tego dowodem. W Egipcie było oznaką oswobodzenia niewolnika, jeśli pan jego brodę mu zapuścić pozwolił. Obciąć komuś brodę, znaczy na Wschodzie to samo co największą hańbę mu wyrządzić, za niewolnika go uważać. To też Izraelska sekta Nazareńczyków nie używała nigdy brzytwy ani nożyczek, wskazując tem, że członkowie jej są sługami Boga i że żaden żywy człowiek nie ma prawa władzy nad nimi. To przesadzone uszanowanie dla włosów, przerodziło się wreszcie w zabobon: przypisano im nadnaturalną siłę. Samson wierzy, że cudowna moc jego spoczywa we włosach, i z utratą ich popada w zwątpienie. Ztąd wynikł także rozpowszechniony pomiędzy katami średniowiecznemi przesąd, że złoczyńca nieostrzyżony, bezpiecznym jest od wszelkiego uszkodzenia i dla tego nie chcieli nigdy pierwej za miecz sprawiedliwości chwycić, pokąd skazańca nie ostrzyżono przy samej skórze. U Greków było zwyczajem przycinać włosy, i nosić je nie dłuższe, jak do barków; ażeby jednak tego nie poczytano za oznakę zależności, pierwsze obcięte włosy Grecy któremuś z bóstw poświęcali. Wielu jednak z pomiędzy nich zakładało całą dumę swoją na bujnym poroście włosów, i nosiło je spadające w bogatych pierścieniach na plecy. Dla tego greckie słowo „długowłosy“ znaczyło przenośnie to samo co „dumny“. Słynny mówca Demostenes, postanowiwszy zabrać się do uporczywych studjów, które wymagały zupełnego zamknięcia się w domu, nie znalazł lepszego środka przymusu dla samego siebie jak ogolić sobie pół głowy. Rozumie się, że potem, mimo najsilniejszej pokusy, nie mógł mieć stosunków ze światem, pokąd mu włosy nie odrosły. Przeciwieństwo ducha chrystjanizmu do pogańskiego objawiło się i pod tym względem. Pierwsi chrześcijanie dla okazania pokory swojej, strzydz się kazali tak, jak strzyżono niewolników w Tacji: to znaczy kazali wycinać sobie koronę na środku głowy, pragnąc tym sposobem wyrazić, że są nietylko sługami Boga, ale i sługami wszystkich ludzi. Taż sama myśl była podstawą obyczaju noszenia tonsury u mnichów, i golenia brody u chrześcijańskiego duchowieństwa w ogóle. U Arabów także włos był cechą wolnego człowieka. Jeżeli ktoś drugiego wziął w niewolę a chciał go bez wykupu oswobodzić, obcinał mu włosy na przodzie od czoła, chował je w swój sajdak i następnie dopiero uwalniał jeńca. Włosy te w sajdaku zwycięzcy służyły mu za dowód, że właściciela ich miał w mocy swojej, że był panem jego życia i śmierci. Ponieważ rodzice chrzestni pozyskują także władzę nad swoim chrześniakiem, było tedy zwyczajem w pierwszych czasach chrześcijaństwa, że albo sam syn chrzestny, jeżeli był dorosły, albo też ojciec jego, wręczali rodzicom chrzestnym kosmyk włosów ich duchownego dziecka. Ztąd pochodzi ceremonja strzyżenia włosów, w greckim kościele w ośm dni po chrzcie następująca, a niegdyś i w rzymskim zachowywana. Obcięcie włosów własną ręką było także oznaką za adaptowania w średnich wiekach. Dziad Karola Wielkiego, Karol Marta, który w krwawej bitwie pod Tours i Poitres (732) świetne zwycięztwo nad arabami odniósł, posłał syna swego Pipina królowi Longobardów Luitprardowi z prośbą, ażeby ten mu włosy obciął tj. został jego ojcem chrzestnym. Chcąc posła uwierzytelnić lub polecić kogoś oddalonej osobie, powierzano dla doręczenia jej pasmo własnych włosów. I tak jeden z przewódzców pierwszej wojny krzyżowej (1096 — 1099) Botemund, książe Antjochi, dostawszy się w niewolę tureckiego władzcy Cylicji, wyprawił tajemnie posła do Baldwine, hrabiego Edeszy, prosząc go o ratunek, a dla uwierzytelnienia posła wręczył mu pasmo włosów swoich, dobrze znanych Baldwinowi.

— Do jednej z berlińskich restauracyj wszedł gość i zażądał objadu. Podano mu potrawy zdolne strusia o niestrawność przyprawić. Gość nie mówiąc ani słowa zjadł, a potem wstawszy obdarzył sowicie posługacza i z żałosną miną zażądał widzieć gospodarza. Gospodarz przybiegł, kłaniając się do ziemi. Wówczas nieznajomy gość spojrzał nań z łzawem okiem i rzucił mu się w objęcia, wołając ze łkaniem: „Bądź zdrów drogi gospodarzu, i bądź szczęśliwy. Zjadłem twój objad więc już na tym świecie nie zobaczymy się z sobą“. I to wyrzekłszy, wybiegł z pośpiechem. Można sobie wystawić osłupiałą minę gospodarza i szalony śmiech świadków tej sceny.

Odpowiedzi Redakcji.

P. W. w Czortkowie. Między najnowszemi powieściami oryginalnemi, „Zarnica“ T. T. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego) zasługuje na wyszczególnienie. Powieść tego samego autora: „Sprawa Starodubowska“ drukowana w odcinku „Dziennika Polskiego“ wyjdzie także w osobnej odbitce.

M. K. w Stanisławowie. Tom II. dzieł Dzierzkowskiego zostanie rozesłany z końcem bm. Co się tyczy książki zbiorowej „Sobótka“ to opuściła ona już prasę i prawdopodobnie na drugi tydzień będzie doręczona wszystkim prenumeratorom.

W. W. w Krakowie. W tej formie nie da się umieścić. Wzmianka będzie, bo każdy młody talent jest nam drugim, ale niepodobieństwem poświęcać tyle miejsca pracy tak krótkiej.

Treść Nr. 10.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).